

NR INDEKSU 356-875

DEKADA Literacka

Dwutygodnik
Kraków

Rozmowa o Polskim Towarzystwie Szekspirowskim ■ Alfred Łaszowski: O krytyce literackiej i nacjonalizmie
Debiuty: Paweł Grabowski, Marcin Chwistek ■ Balladyna ■ List z Wiednia ■ Felieton Teresy Walas

SŁOWNIK BRUNONA SCHULZA

jako postulat i jako zadanie

Stanisław Rosiek

Nazwijmy go po prostu Słownikiem. Początkowo nie obejdzie się jednak bez określeń i epitetów. Ten Słownik będzie miał na uwadze Schulza i jego dzieło. Niech więc swą nazwą zdradza swe odniesienia: Słownik Brunona Schulza. Przedstawiany dalej projekt stworzenia takiego Słownika wyrasta z doświadczeń przeciwnych: z poczucia bogactwa i z poczucia niedostatku.

1

to — z jednej strony — coraz bardziej powiększa się terytorium schulzologii. Obszar, jaki już dzisiaj zajmuje, trudno z zewnątrz ogarnąć. Ten rozrost (intensywnie pobudzany właśnie podwójną rocznicą) wyraża się w mnogich, nierzadko ekscentrycznych interpretacjach, w licznych pracach cząstkowych i szczegółowych. Brak pośród tego, co się o Schulzu pisało i pisze, ujęć syntetycznych (jedyną chyba poważną próbą tego rodzaju ostatnio podjętą jest uwikłany w konwencję serii wstęp do tomu Schulza w Bibliotece Narodowej). Jeszcze chwila i coraz powszechniej zacznie się odczuwać niedostatek jakiegoś orientacyjnego punktu, wyraźnego odniesienia, miejsca wspólnego, gdzie spotkać by się mogły indywidualne wysiłki interpretatorów i badaczy dzieła Schulza.

Miejszem takim — uświęconym tradycją — jest, czy raczej — zważywszy jej zanik — była tzw. „monografia pisarza”.

Wydaje się jednak, że dziś nie jest już możliwa praca nosząca tytuł *Bruno Schulz. Życie i twórczość*. Czy to znaczy, że nie powstanie? Przeciwnie, niewykluczone, że właśnie w tej chwili ktoś obmyśla jej zarys. Przedsięwzięcie tego rodzaju jest jednak działaniem anachronicznym i — jak się zdaje — skazanym na niepowodzenie. Monografia dąży bowiem do przetworzenia indywidualnych, więc subiektywnych punktów widzenia w wiedzę zobiektywizowaną, bo wspólną (gdyby tak nie było, nie różniłaby się przecież wiele od interpretacji), sprowadza mnogość do jedności, odbiera interpretacyjnym sądom status tymczasowości w imię poszukiwania rozstrzygnięć o ile to możliwe definitywnych lub przynajmniej obowiązujących w ramach jakiegoś „stanu badań”. Słowem: jest wypowiedzią ujednolicającą, więc monofoniczną o wyraźnie zaznaczonym centrum. Te „przyrodzone” wady monografii stawiają ją na marginesie aktualnie cenionych wypowiedzi literaturoznawczych, które ożywia demokratyczny duch różnicy. Obok trudnych dzisiaj do obrony niedostatków miała też monografia niemałe zalety. Była

Ilustracja: Aleksander Pieniek



próbą weryfikacji indywidualnych wysiłków badawczych, była miejscem konfrontacji różnorodnych horyzontów interpretacyjnych, tworzyła tym sposobem wyraźne cezury — monografie wielkich pisarzy często zamykały (rzadziej otwierały, choć i tak bywało) kolejne epoki badań. Od Chmielowskiego do Kallenbacha, od Kleinera do Witkowskiej można by wytyczać wewnętrzną periodyzację mikiewiczologii. Ten mediatyzacyjny i orientacyjny walor monografii warto by zachować. Nie w ten sposób — oczywiście — by restytuować dawną formę. Przeciwnie, należy stworzyć nową, w większym stopniu niż monografia „zdemokratyzowaną”. Taką właśnie poli-

foniczną formą zebrania istniejącej wiedzy stać się może słownik pisarza.

2

Każdy słownik jest strukturą demokratyczną. Nie znalazł lepszego Barthes, gdy siebie samego czynił bohaterem wypowiedzi (w książce *Roland Barthes par Roland Barthes*). Wszelkie władze są w słowniku podporządkowane nadrzędnemu prawu, zasadzie arbitralnie przyjętej — i dlatego pozostającej poza dyskusją — alfabety. To on wyznacza porządek wewnętrzny słownika. Nikogo nie degraduje, nikomu

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

Wydawanie czasopisma kwartalnego jest zajęciem niezwykle ryzykownym, tym bardziej, jeśli ma to być kwartalnik literacki. Między kolejnymi numerami są długie przerwy i właściwie jedyną metodą pozyskania czytelników może być zamieszczanie jak największej liczby (bez przesady należy stwierdzić, iż co najmniej 80%) bardzo dobrych tekstów. Żeby było warto kupić, żeby kupujący tytuł zapamiętał, wreszcie żeby miał lekturę na dłuższy czas.

Redakcja lubelskiego kwartalnika literackiego „KRESY”, sądząc po numerze dwunastym (jesień 1992), zdaje sobie sprawę z tej sytuacji i — co więcej — potrafi znaleźć z niej wyjście. Obok utworów wybitnych twórców (w numerze 12 pojawiają się nazwiska Mariny Cwietajewej, Daniela Charmsa, Nadieży Mandelstam, Erwina Kruka) zamieszcza ciekawe teksty krytyczne, sprawnie skomponowany blok wspomnieniowy (poświęcony Annie Kamieńskiej) i kilka rubryk informacyjno-recenzenckich.

Bohaterem eseistyczno-krytycznej części ostatniego numeru jest bez wątpienia niedoceniany w Polsce pisarz-emigrant Andrzej Bobkowski, obecny tu poprzez własne listy do Tymona Terleckiego oraz przez analizy krytyków. „W swoim ludzkim odczuciu Bobkowski nie mógł stanąć pośród wielkich emigrantów i przez długi czas nie uchodził — nawet we własnych oczach — za pisarza, raczej czuł się publicystą, czujnym obserwatorem życia codziennego. (...) Okazywał się pilnym i ogromnie wrażliwym czytelnikiem literatury, głównie francuskiej i polskiej. Starł się z emigracji, zaraz po wojnie, przysłał swe listy do kraju (...), drukować w Polsce, dla dużej publiczności, dla czytelnika o najlepszych kwalifikacjach, póki to było możliwe.” — charakteryzuje powojenną sytuację autora Szcików piórkiem i Coco de Oro Andrzej Sulikowski.

Szcik, z którego pochodzi przytoczona opinia, ma w tytule *Pasje sportowe Andrzeja Bobkowskiego* — poprzez wspomnienia pisarza dotyczące wycieczek rowerowych głównie po Francji próbuje Sulikowski dotrzeć do głębszych pokładów prozy Bobkowskiego, zrekonstruować specyficzny punkt widzenia wędrowca.

Zdaniem Sulikowskiego „perspektywa cyklisty”, postrzeganie przestrzeni właściwe rowerzyście jest szczególnie cenna dla artysty zamierzającego opisywać otaczający świat: „pole widzenia bliskie 360°, stały kontakt z żywiołem powietrza, percepcja zapachów, głosów ludzkich, bezpośrednia komunikacja zmysłowa z tym, co tworzy wigor ulicy.” Analizując opisy krajobrazów, międzyludzkie układy podczas wycieczek i subiektywne refleksje na marginesie konkretnych wspomnień zawarte w *Szcikach piórkiem* wysnuwa Sulikowski tezę o egzystencjalno-religijnym wymiarze wysiłku fizycznego i obserwacji świata w dziele Bobkowskiego: „Oprócz wysiłku jazda na rowerze przynosi Bobkowskiemu inne ważne doświadczenie (...). Przede wszystkim rozpoznanie drogi, uświadomienie sobie, czym jest wytyczona rozsądnie marszruta, jak należy rozłożyć siły na trasie. Z tego czerpie się wzorce także w życiu prywatnym (...). Poszukiwanie wytchnienia, czy próba zaspokojenia pragnienia wpisuje Bobkowskiego w nurt mitycznych poszukiwań świętego Grala i wody żywej, dającej poczucie intensywności życia, czego pragniemy, często ślepo, nie wiedząc i szukając po omacku, a czasem ze szkodą dla duszy.”

Podkreślając ideowe związki Bobkowskiego z Josephem Conradem przytacza Sulikowski także refleksje pisarza dotyczące drugiego sportu jego życia — pływania. Odsłania się tu odmienna perspektywa — także nafracyjna, związana z przeżyciem samotności i wywodzącej się z „etyki obowiązku” odpowiedzialności.

Konkludując — Sulikowski upatruje w postrzeganiu sportu przez Bobkowskiego

pewnego rodzaju drogę doskonalenia i poznawania, rozumienia człowieka i świata, między innymi dzięki odrzuceniu rywalizacji widowiskowości, postawieniu sobie wysokich wymagań, dzięki zmaganiu z własną słabością, a także uczynieniu z przeżycia sportu elementu ogólniejszej refleksji.

Z innej perspektywy spogląda na autora *Coco de Oro* Aleksander Fiut w szkicu *Ucieczka z Europy*. Dostrzegając pokrewieństwo duchowe Bobkowskiego z Witoldem Gombrowiczem (to zresztą Gombrowicz pierwszy poznał się na pisarskim talentie Bobkowskiego), Fiut zderza ze sobą dwie osobowości literackie: „Przy

RAZ W MIESIĄCU

"JAK Z NUT"

wszystkich różnicach — wieku, światopoglądu, wrażliwości, charakteru, pisarskiego talentu — Bobkowskiego z Gombrowiczem spokrewnia niemało. Dobre pochodzenie, staranne wychowanie, nienaganne manery, ale i pewna nonszalancja w stosunku do posiadanej wiedzy, którą w dobry tonie jest ujawniać tylko mimochodem, jakby od niechcenia. Szczególne wyczucie na fałsz, grę pozorów i przymusy społecznego rytuału, z równocześnie idiosynkrazją wobec prostactwa i gruboskórności. Wyniosła duma, a przecież łatwość przystosowania się do każdej sytuacji, nawet skrajnej biedy, bez uszczerbku dla poczucia własnej wartości. (...) Obydwa dzielą niechęć do wszelkich ideologii, teorii, utopii oraz szacunek dla trzeźwego rozsądku i życiowego realizmu. Uznanie dla rzetelnej pracy ale własnej, samodzielnej, nie skrepowanej rygorami instytucji. Odrzeka dla wszelkiej maści mistycyzmów (podobnie negatywny stosunek do Słowackiego!), polskiej martyrologii i zbiorowych obłędów. Zaufanie dla własnej obserwacji i potrzebę wyrobienia sobie o wszystkim niezależnego sądu. Wreszcie — kult młodości. Szczególnie w jednym są zgodni: w uwielbieniu niczym nie skrepowanej, swobodnej jednostki. Różnice dostrzega Fiut przede wszystkim w stosunku obu pisarzy do codziennej egzystencji, która dla Bobkowskiego — w przeciwieństwie do Gombrowicza — nie była udręką, ale źródłem „małych i dużych radości”. Odmienna jest także wizja Ameryki Łacińskiej w utworach dwóch emigrantów: o ile Gombrowicz opisywał Argentynę poprzez wynajdywanie różnic w stosunku do Europy i zwłaszcza Polski, o tyle Bobkowski w Gwatemali „porównuje Amerykę z Polską, ale — odmiennie — szuka podobieństw, a nie różnic. (...) Czyżby, wbrew pozorom, Bobkowski szukał nie obcości, lecz swojskości, nie egzotyki, ale wydzielizowanej Polski, a właściwie Krakowa z lat młodości? Jego zachwyt z czasem zblednie, pozostanie przecież skłonność do wynajdywania podobieństw, nawet w tym, co w mentalności obydwu narodów mniej chwalebne”. A jednak w ostatecznym rachunku Fiut uznaje, że pisarzy więcej łączy niż dzieli: „Obydwa pisarze starej Europy, którą ucieleśnia za stygła w formę Francja, przeciwstawiają jej dawną, lepszą, czy po prostu wyidealizowaną postać. Ale od Europy nie ma ucieczki. Jest obecna w tym, co z jej ideów, tradycji i postaw przechowała Ame-

ryka. (...) Zarówno Gombrowicz jak Bobkowski, uchylając się polskości, dzięki konfrontacji jej wyobrażeń z obcą kulturą odbyli w dwudziestym wieku romantyczną wyprawę w głąb siebie i na nowo odczytali reguły narodowej samoidentyfikacji.”

W nieco inny wymiar kultury europejskiej przenosi nas Umberto Eco w przedrukowanym przez „KRESY” odczycie z 1987 roku pt. *Irracjonalizm — wczoraj i dziś*. Po czyniona sześć lat temu uwaga wstępna włoskiego uczonego wydaje się zaskakująca — trafna w odniesieniu do dzisiejszej sytuacji polskich księgarń: „Tam, gdzie przed dwudziestu laty na poczesnym miejscu półek księgarskich znajdowała się Destrukcja rozumu Lucacsa, dziś wystawia się na sprzedaż (...) dzieła mistrzów filozofii wschodniej lub traktaty alchemiczne, astrologiczne (...), z dziedziny sztuki przepowiadania i czarnej magii. Odnosi się wrażenie, że Chesterton miał rację twierdząc: »Odkąd ludzie nie wierzą w nic, skłonni są uwierzyć w cokolwiek«. Czy to znaczy, że stajemy przed nową zjawą irracjonalizmu?” W swym tekście Eco śledzi historię obecności irracjonalizmu i hermetyzmu w świadomości europejskiej, a przede wszystkim sprzeczność tych teorii z podstawowymi pierwiastkami europejskiego myślenia — grecką logiką (opartą na zasadach tożsamości, niesprzeczności i wyłączonego środka) i rzymskim systemem prawnym: „Ten model racjonalizmu do dzisiaj dominuje w matematyce, logice, nauce i programowaniu komputerów. Jednakże to, co nazywamy dziedzictwem greckim, nie sprowadza się wyłącznie do tego modelu. (...) Urzeczona nieskończonością cywilizacja grecka, równoległa do zasady tożsamości i niesprzeczności, wypracowała ideę ustawicznej metamorfozy symbolizowanej przez Hermesa.” Wykazując historyczne zakorzenienie współczesnej mody na irracjonalizm przypomina Eco historię gnostyków i neoplatoników — i przywołuje tu prawdę podstawową: doświadczenie zwolenników hermetyzmu uczy, że tajemnica jest niepoznawalna lub pusta. A zatem wszystkie irracjonalne teorie nie potrafią stać się narzędziami opisu świata, ale raczej zmierzają ku ideologiom lub, w najlepszym wypadku, ku literackim opisom egzystencjalnego rozdarcia człowieka: „Irracjonalizm hermetyczny powinien emigrować, z jednej strony, do cel mistyków i alchemików, z drugiej, do poetów i filozofów.”

Sympatia Eco jest zdecydowanie po stronie racjonalistów. Z idei gnostycznych wywodzi on teorię nadczłowieka, „estetyczne celebrowanie zła jako doświadczenia o randze objawienia” markiza de Sade, a także „każdy wybór czyniony przez współczesnych poetów poszukujących wizjonerskich przeżyć w wyczerpaniu cielesnym wywołanym ekscyzjami seksualnymi, narkotyczną ekstazą »mistyczną« lub po prostu przez werbalny bełkot.” Najistotniejszym jednak, czy też raczej najbardziej brzemiennym w skutki społeczne dziedzictwem gnostycznego irracjonalizmu jest zdaniem Umberta Eco (który powołuje się tu na autorytet Karla Poppera) spiskowa teoria dziejów: „»Racjonalna« skłonność dyktatorów to nic innego jak definiowanie zewnętrznego wroga jako tego, kto potajemnie działa na krzywdę obywateli: »irracjonalna« skłonność obywateli to nic innego jak skwapliwe akceptowanie idei spisku. Zło zawsze popełnia kto inny — nie rodzi się ono nigdy z naszych własnych błędów.”

Nie sposób w krótkim tekście ogarnąć całej problematyki prezentowanej w „KRESACH”, bo przecież należałoby omówić jeszcze ciekawy artykuł Włodzimierza Boleckiego o „idei krajowej” Józefa Mackiewicza (*Prawdy niemiełe*), rozmowę z Julianem Komhauserem o poetyce nowofalowej widzianej z perspektywy lat 90., czy szkic Anny Legeżyńskiej o poecie-repatriancie (a więc szczególnej odmianie emigranta) Aleksandrze Rymkiewicz. Ta niemożność przemawia jednak jak najbardziej na korzyść pisma i jest też fragmentem jego recenzji.

Agnieszka Fulińska

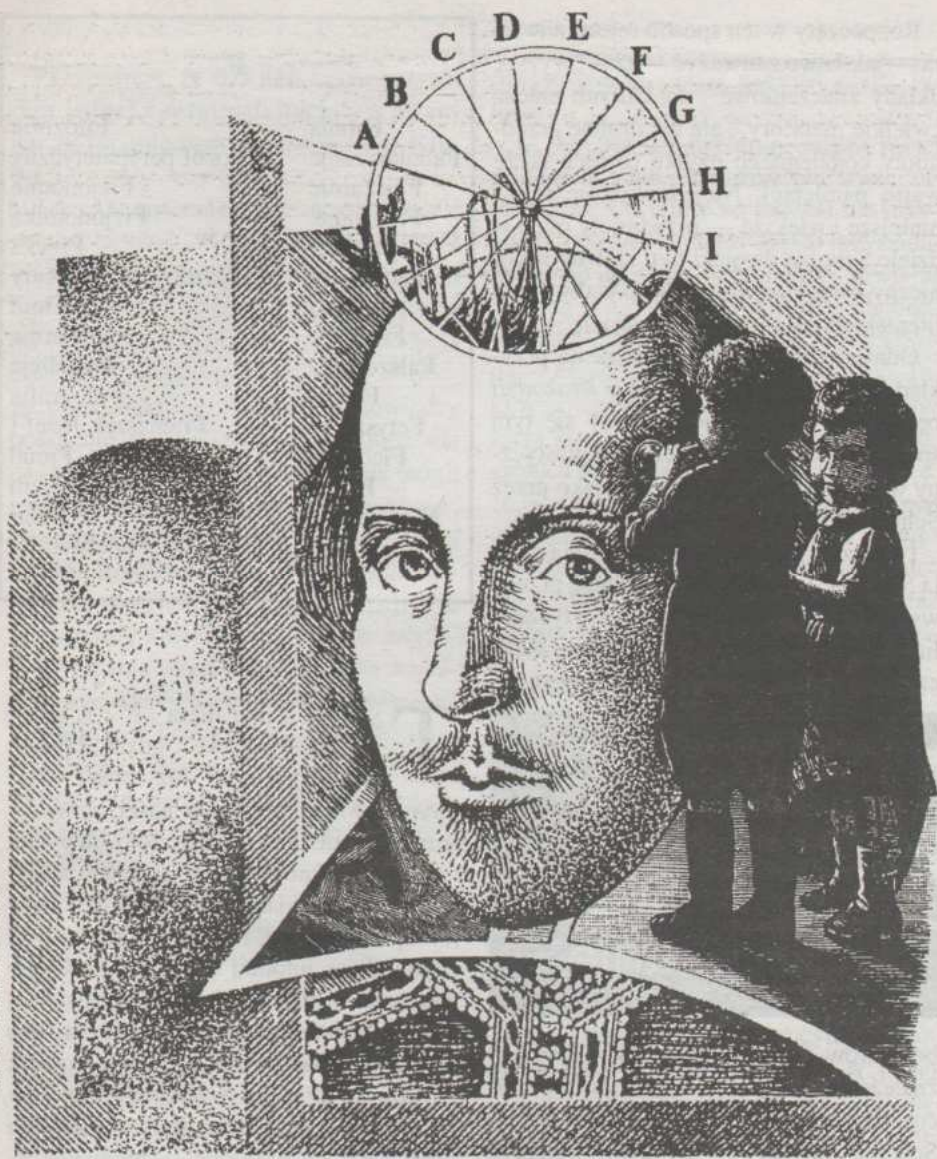
Co nowego w prasie?

Jak się ma poezja w dzisiejszej Polsce? Odpowiedź na to pytanie nie należy do łatwych, sytuacja jest bowiem ogromnie wieloznaczna i skomplikowana, co skrupulatnie wykazał Janusz Drzewucki w 3 n-rze *POLITYKI*, opatrując optymistycznym pytankiem tytuł swego artykułu: *Czas marny i jałowy?*. Z jednej strony bowiem definitywnie skończyły się niedawne jeszcze czasy, kiedy w Polsce trwało nieustające święto poezji: organizowano niezliczone konkursy i imprezy poetyckie, zbiory wierszy (Miłosza, co prawda) wychodziły w nakładach statystycznych, a każde wydawnictwo uważało za swój obowiązek publikowanie debiutanckich tomików poetyckich, które następnie skrupulatnie omawiały liczne pisma literackie. To już przeszłość. J. Drzewucki zebrał jednak sporo argumentów przemawiających przeciwko rozpowszechnionej opinii, iż dzień dzisiejszy jest prostą odwrótnością minionej prosperity. A więc: wprawdzie większość starych, dużych wydawnictw zrezygnowała z wydawania poetyckich tomików, ale za to obficie publikują je regionalne stowarzyszenia kulturalne i domy kultury. Tutaj wydają swoje następne tomiki twórcy o ponadregionalnej sławie (w tym miejscu autor wymienia takie miasta i instytucje jak: Toruń, Siedlce, Katowice, Suwałki, Olsztyn, Kłodzko, Kujawsko-Pomorskie Tow. Kulturalne, stołeczny Staromiejski Dom Kultury). Poezję wydają również niektóre nowo powstałe wydawnictwa, np. w Krakowie Oficyna Literacka i „Miniatura”, w Bochni Prowincjonalna Oficyna Wydawnicza, w Poznaniu „a5”. Oczywiście nie są to jedyni wydawcy poezji w Polsce. Z publikowaniem nie jest więc jeszcze najgorzej.

Mniej optymistycznie brzmi następne stwierdzenie Drzewuckiego: Wydawniczy ruch poetycki wydaje się być obwodem zamkniętym. Twórców poezji jest mniej więcej tyle samo, co jej czytelników. Nie dość, że wydawanych tomików nie można nigdzie kupić (...), to także nie można znikąd dowiedzieć się, kiedy wchodzi i czy mają jakąś wartość (...) Zniknęło wiele czasopism literacko-kulturalnych, poświęcających regularnie uwagę najnowszym wydarzeniom literackim (...) W ich miejsce pojawiły się co prawda nowe pisma (...) ale są to w większości kwartalniki, mające wielkie kłopoty z kolportażem i prenumeratą.

PRZEGLĄD TYGODNIOWY (nr 3) drukuje reportaż Ryszarda Sochy pt. *Graf z rozdarty sercem*. Jest to jak gdyby autentyczna wersja fikcyjnej historii opowiedzianej przez Günthera Grassa w jego najnowszej książce *Wróżby kumaka*, w której Niemiec i Polak zakładają fundację w celu urządzenia w Gdańsku cmentarza dla Niemców, pragnących wrócić po śmierci w swe strony rodzinne. Cmentarz służyć ma pojednaniu obu narodów: realizacja pomysłu rozwija się znakomicie. To Grass. Natomiast R. Socha opisuje działalność rodziny hrabiów von Krockow z Krokowej koło Pucka: chcąc orestaurować rodowy zamek wraz z otoczeniem, mocno zdevastowane w PRL, założyli fundację (z udziałem Uniwersytetu Gdańskiego i Stow. Kaszubsko-Pomorskiego), która w przywróconej do dawnej świetności Krokowej stworzy ośrodek różnorodnych spotkań i współpracy niemiecko-polskiej. Pieniądze (duże) płaci rząd niemiecki z konwersji polskiego zadłużenia. Ciekawe, czy Grass pisząc *Wróżby kumaka* wiedział już o inicjatywie von Krockowów, którym m.in. chodziło także o rodzinne groby?

J.L.



SZEKSPIR BĘDZIE WCIĄŻ BARDOŻO POLSKI

rozmowa z dr hab. Martą Gibińską, prezesem Polskiego Towarzystwa Szekspirowskiego

Podczas międzynarodowej sesji szekspirowskiej, zorganizowanej w Gdańsku poprzez Fundację *Theatrum Gedanense* — powołano Polskie Towarzystwo Szekspirowskie. Jest to ważne wydarzenie w naszym życiu kulturalnym. Ale od razu nasuwają się przynajmniej dwa pytania. Dlaczego w Gdańsku i dlaczego tak późno powstaje tego typu towarzystwo, skoro autor *Hamleta* jest stale obecny, chociażby w polskim teatrze, prawie już dwieście lat?

Nie znalazła się, jak dotąd, osoba, która by wystąpiła z taką inicjatywą. Podjął to zadanie dopiero niesłychanie energicznie działający w Gdańsku prof. Jerzy Limon, szekspirolog i anglista, wychowanek Uniwersytetu Poznańskiego. Prof. Limon jest przedstawicielem średniego pokolenia uczonych i już zapisał się bardzo trwale nie tylko w polskiej, ale i międzynarodowej szekspirologii. Dokonał on m.in. odkryć dotyczących wystawiania Szekspira w Gdańsku w XVII wieku, założył i prezesuje Fundacji *Theatrum Gedanense*. To on właśnie rzucił hasło, sponosił grono odpowiednich ludzi, zdobył sponsorów, zorganizował sesję.

Sesja stała na bardzo wysokim poziomie, przyjechali znani i słynni szekspirologowie angielscy i amerykańscy.

Tak, to było wspaniałe spotkanie. A my mieliśmy się czym pochwalić. Szekspira w Polsce czyta się teatralnie, krytycznie i akademicko w sposób ogromnie ciekawy i inspirujący. Dlatego warto dorobek polskich szekspirologów udostępniać na forum międzynarodowym — i to będzie zapewne główne zadanie nowo powstałego Towarzystwa.

Tym bardziej, że w Polsce autor *Makbeta* był zawsze pisarzem współczesnym. I jest nim nadal...

To przecież Modrzejewska wyrosła na Szekspira, nauczyła się go w Polsce i potem lanowała w Ameryce!

Szekspir miał ogromny wpływ na polskie myślenie teatralne, na wyobraźnię, styl sceniczny...

Wyspiański np. „wsadził” tak mocno *Hamleta* w polską ziemię, że się go już z niej wyrwać nie da.

Mam pod ręką jego studium. Autor *Wesela* stwierdza: „*Graj Hamleta, gdziekolwiek zechcesz w Polsce. Wszędzie te słowa: krzywda, fałsz, kradzież, szelmstwo, błąd szelmstwa, fałsz, krzywdę oznaczać! i wołać zemsty!*” Tak grano Szekspira przez cały okres PRL-u. Był pisarzem, po którego twórczość sięgano, by atakować władzę, nadużycia, system... Czy taki Szekspir będzie obecnie kogośkolwiek interesował? Szekspir aluzyjny, tak jak i teatr aluzyjny wydaje się być mało skuteczny w nowej sytuacji politycznej.

Teatr aluzyjny skończył się i nie skończył. Zakończył żywot teatr, który egzystował w rzeczywistości o wyraźnym podziale — „my” i „oni”. Cytat z Wyspiańskiego uzmysławia jeszcze inną płaszczyznę interpretacyjną. Dotyczy naszego poczucia wartości, naszych postaw moralnych i pytań — kim jesteśmy, kim jest człowiek, gdzie jest nasza godność ludzka? Te problemy są wciąż aktualne, np. *Hamlet* Wajdy w Starym Teatrze z Teresą Budzisz-Krzyżanowską to już zupełnie inne ujęcie, wynikające z odmiennych warunków.

Przesuwają się jakby akcenty interpretacyjne w kierunku uniwersalizacji problematyki szekspirowskiej.

Szekspira nie da się czytać nieuniwersalnie. Jego twórczość niesie w sobie takie bogactwo treści, że trudno ją czytać jedynie poprzez polską rzeczywistość. Wydaje mi się, że najlepsze realizacje sztuk Szekspira w PRL łączyły w sobie jakby dwie perspektywy — polską i ogólnoludzką.

Oznaczało to, że np. *Hamlet* dotykał polskich spraw, a zarazem pozwalał zobaczyć człowieka i świat w o wiele szerszym wymiarze.

Z tym, że ja nie wierzę, aby Polacy zaczęli teraz odczytywać Szekspira tylko poprzez wartości uniwersalne. Jesteśmy ogromnie zapatrzeni w siebie. Dlatego Szekspir będzie wciąż bardzo polski. Na szczęście. Bo wtedy możemy coś bardzo własnego pokazać światu.

Jaką więc rolę będzie odgrywało — w tej zupełnie innej sytuacji — Polskie Towarzystwo Szekspirowskie?

Zacytuje fragment ze statutu, który określa naszą działalność: „*Rozwijanie i upowszechnianie wiedzy o dramacie i teatrze szekspirowskim i renesansowym w ogóle. Skupianie ludzi, którzy zajmując się sztuką teatru, prowadzą naukowe badania teatru i dramatu oraz zajmują się edytorstwem, dydaktyką, tłumaczeniem, dokumentacją teatralną, krytyką i popularyzacją wiedzy o Szekspirze i jego twórczości*”. Myślę, że działania te pójdą w kilku kierunkach. A więc będziemy chcieli pokazywać nasze dokonania szekspirowskie na forum europejskim i światowym. Promować Szekspira w teatrze, na uniwersytetach, poprzez tłumaczenia. Niewielu bowiem ludzi w Polsce ma ochotę go czytać albo oglądać w teatrze. Czytanie Szekspira w szkole też nie jest najlepiej zorganizowane.

Należy pani do młodszego pokolenia szekspirologów. Można bez przesady stwierdzić, że każda epoka, każde pokolenie ma swojego Szekspira. Jaki jest Szekspir pani — i pani pokolenia?

Nie ma jednej odpowiedzi na to pytanie. Spróbuję powiedzieć, jak wyglądają badania szekpirowskie w tej chwili. Skończył się okres robienia wielkich syntez interpretacyjnych. Najżywniejszym kierunkiem w światowej szekpirologii jest materializm kulturalny.

Stosujemy najnowsze teorie językoznawcze, które pozwalają na przyjrzeniu się językowi w działaniu. A ponieważ język dramatu jest językiem działania, więc mnie ten problem najbardziej zainteresował.

Jaka jest przydatność tych badań dla teatru?

Zawsze staram się tak odczytywać teksty Szekspira, aby pokazać co wynika z nich dla działań teatralnych. Jak zobaczyć dialog, jak nauczyć się czytać dramat, aby uwidocznili dzieło teatralne, aby nie był on jedynie płaskim tekstem narracyjnym. Nie wiem, czy ludzie teatru będą chcieli skorzystać z tego, co napisałam, ale wiem na pewno, że udało mi się nauczyć wiele roczników studentów czytać dramat.

Popularyzacja Szekspira i przekazywanie jego dzieła następnym pokoleniom wymaga nowych tłumaczeń. Musi być ciągle przekładany na nowo, gdyż język jest żywy i wciąż się zmienia. Podczas sesji w Gdańsku pani wystąpienie wzbudziło żywy odzew, prasa doniosła nawet, że zaatakowała pani ostro tłumaczenia Stanisława Barańczaka. W istocie przeprowadziła pani krytyczną analizę jego przekładu *Hamleta*. Barańczak jest przedstawicielem najmłodszego pokolenia tłumaczy Szekspira. Czy pani zgoda się z jego metodą translatorską — i czy ten Szekspir jest równie pani bliski, jak w przekładach jego poprzedników?

Po kolei, bo jest kilka pytań, zawartych w pana wypowiedzi. Tłumaczenia to jest właściwie podstawa obecności Szekspira w Polsce. W XIX w. nastąpił „wybuch tłumaczeniowy”, zwłaszcza w drugiej połowie. Wśród tłumaczy szczególnie zasłużył się Paszkowski w popularyzacji Szekspira. Do dziś funkcjonuje w te-

Nie ma on nic, lub prawie nic wspólnego z materializmem marksistowskim.

I chwała Bogu!

Jest to metoda, którą posługują się uczeni przy badaniu twórczości Szekspira w kontekście ideologii i rzeczywistości społeczno-ekonomicznej jego epoki. I naszej. A więc, co my jesteśmy w stanie zrozumieć z ich postaw, a co ich postawy są nam w stanie przekazać? Nastąpił też ogromny rozwój edytorstwa szekpirowskiego, które jest bardzo trudne. Tymi badaniami nie bardzo możemy się w Polsce zajmować, gdyż nie mamy łatwego dostępu do pierwodruków. Jest to typowa specjalność anglosaska.

Co polscy szekpirolodzy mogą więc wnieść do tych badań?

Prof. Limon już wiele wniósł, badając historyczne tło, historyczne detale, przeszukując archiwa. Zajmuje się on również politycznym tłem powstawania dramatów Szekspira. Młoda łódzka badaczka, Krystyna Kujawińska-Courtney zajmuje się badaniem sztuk historycznych Szekspira, czyli tzw. kronik królewskich. Są one mało spopularyzowane w Polsce, gdyż historia Anglii jest u nas słabo znana. Zajmuje się też tzw. feministyczną krytyką, dobrze już rozwiniętą w świecie.

Co to znaczy „feministyczna krytyka”?

Bada Szekspira od strony świadomości kobiecy. Czyli — jaki wpływ miało społeczeństwo zorganizowane przez mężczyzn na sposób ukazania i obecność kobiety w dziele literackim. Nie jestem specjalnie gorącą wyznawczynią tego kierunku krytycznego, ale muszę przyznać obiektywnie, że niektóre z tego typu badań są ciekawe. Ja natomiast interesuję się głównie językiem Szekspira. Na krakowskiej anglistyce są dość dobrze rozwinięte studia językoznawcze. Prof. Irena Kałuża opublikowała niedawno obszernie studium *Makbeta* z perspektywy teorii językoznaw-

atrach. To na jego przekładach jesteśmy w zasadzie wychowani...

Ale też nikomu nie udało się zbudować tak wspaniałych fraz, jak ta: „*Niech z bólu ryczy ranny łos*”. Różne jelonki wkładane w to miejsce okrutnie śmieszają...

Pan ma rację, ale Szekspira trzeba wciąż tłumaczyć na nowo. W XX wieku znów pojawiła się plejada świetnych tłumaczy: Brandstaetter, Berwińska, Gałczyński, Sito, Słomczyński — i jego monumentalny przekład. Teraz z kolei Barańczak pragnie przyswoić nam całego Szekspira. Ocena tych tłumaczeń jest bardzo trudna. Są w nich miejsca, kiedy dech zapiera z wrażenia, ale bywają i miejsca niezbyt trafnie ujęte. Niedawno dokonaliśmy razem z doc. Elżbietą Tabakowską oceny porównawczej tłumaczenia Paszkowskiego, Słomczyńskiego i Barańczaka — na małym wycinku tego samego tekstu. Chciałyśmy filologicznie i językoznawczo zademonstrować, co każdy z nich zrobił — i spróbować ocenić według kryterium, które przyjęliśmy. Moje wystąpienie na sesji w Gdańsku polegało na tym, że pokazałam, jak Barańczak zinterpretował postać *Hamleta*. Bo *Hamlet* w jego tekście jest inny, niż w tekście oryginału. Nie zamierzałam dowodzić, że to jest złe. Ja tylko próbowałam pokazać jak jego tłumaczenie staje się interpretacją i w którym kierunku ona poszła. Z tego tłumaczenia korzystał w swojej inscenizacji Wajda. Prześledziłam więc, jak z tego tekstu reżyser wydobyl „elżbietarstwo”, równocześnie pokazując inność, polskość, współczesność. Jak zinterpretował postać *Hamleta*. Była to więc moja próba oceny — z pozycji uniwersyteckiego pedanta — tego, co uczynił artysta-tłumacz i artysta-reżyser.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Marian Sienkiewicz

Przypomnę, że był pan także reżyserem jednej z ostatnich inicjatyw awangardy lat międzywojennych czyli Klubu S.

Tak. Ale znacznie większą rolę odegrał w nim Pietrzak, Kott i Matuszewski. Ja studiowałem wówczas historię filozofii u Tatarkiewicza. A jednocześnie wypadło mi się zapoznać z olśniewającą koncepcją estetyki Romana Ingardena. Klub S. podjął próbę odkrycia twórczej samowiedzy pokolenia w momencie szczególnie dla nas krytycznym. Bo myśmy już nie mogli i nie chcieli naśladować Skamandrytów. Nie pozostało w nas śladu z epoki Młodej Polski. Romantyzm w swej wersji męczeńsko-cierpiętniczej wydał nam się przestarzały i nieaktualny. A teraz należało krytycznie ustosunkować się do współczesnego dorobku awangardy i propozycji zawartych w książce *Walka o treść* Irzykowskiego. Generacja nasza nie miała już żadnych obciążeń niepodległościowych. Nie została „okuta w powiciu”. Wielu z moich kolegów uznało tak zwaną „żerom-szczynę” za absolutnie niemodny i bezpowrotnie przebrzmiały wybuch staroświeckiej egzaltacji, stanowczo zbyt patetycznej. W tej dobie zaczął się już załamywać pierwotny żywiołowy charakter Skamandra. A my znaleźliśmy się w kregu wpływów bardzo zdolnych katastrofistów wileńskich. Ten nadludzki trud związany z próbą określenia zagubionej tożsamości własnej — stał się dramatem naszej niezwykle ambitnej, burzliwej niespokojnej młodości. I wtedy ogarnęło nas głuche przeczucie zbliżającego się końca wszechczasów. Jak dzisiaj. Ta analogia jest przerażająca.

Pana jednak te katastroficzne lęki nie poraziły?

Mnie nie. Ja byłem nabity prometejskim optymizmem Przyboś! On uważał, że człowiek może przegrać swoje życie. Ale ludzkość wygra je na pewno. Istotą jego wizji stała się postać człowieka bez granic. Duch jego codziennie przebierający swą miarę w nim samym — staje się największą niespodzianką dla siebie. A coś dopiero dla jego współczesnych? Każdy z nas poddany działaniu pragnienia na wskroś oryginalnej samowiedzy twórczej — trwa w bezustannym pościgu za kimś nieskończenie mądrzejszym i doskonalszym. A tak myśląc stwarza się ciągle na nowo. On na pewno nie da się zakuć w dyby żadnego schematu. Rozwali ciasne ramy tradycyjnych poglądów na świat, stanie się bezlitośnie krytyczny nawet w stosunku do własnej doktryny poetyckiej. O tym Przyboś przypominał sobie pod sam koniec życia, kiedy już było po wszystkim.

Niech pan czujnie sprawdza swe determinanty — zawołał podczas naszego ostatniego spotkania Napierski. Czy pan wie kto pana duchowo zniewolił i uwarunkował? To przecież jest najważniejsze. Bez tego nie można zrobić ani kroku naprzód. Proszę sobie przypomnieć, czego

nas w swoim czasie nauczył Franz Fischer.

— No tak. To był drugi mistrz mojej młodości. Klub S. bardzo mu wiele zawdzięcza. On nigdy co prawda nie przychodził do nas, za to my często przysiadaliśmy się do niego w literackiej kawiarni Ziemiańskiej. Już wtedy szalenie imponował nam ten starszy pan z olbrzymią brodą — największy żarłok w Warszawie. Taki współczesny Sokrates. Mędrzec najwyższej klasy światowej. Nieustraszonego pogromca wszystkich filozofów. Powie ktoś, że Nietzsche znacznie wcześniej dokonał generalnego przewartościowania najwyższych wartości. Fischer bardzo tej analogii nie lubił. Ale mniejsza o to. On zaraz na samym wstępie udzielił mi pewnej ra-

śmy prawie wszyscy wyszli z „Kućni Młodych”. Tak się nazywało to pismo satyryczne. Redaktorom w zasadzie szło o to, żeby generacja wychowana w Polsce niepodległej, spotkała się tam z kombatanami i ludźmi, co to państwo wskrzesili i wraz z nami pragnęli je teraz zorganizować i wzmocnić. Na tym podłożu wyrósł Związek Młodej Polski Jerzego Rutkowskiego. I Klub Jedenastego Listopada pod skrzydłami Rydza. Ja ich do siebie zraziłem ponieważ po śmierci Marszałka w jakimś wywiadzie prasowym zapytany przez dziennikarza, jak oceniam te historycznie nieuniknioną zmianę warty odpowiedziałem, że lepszy Rydz niż nic. To mi się jakoś wyrwało. Lecz cenzor tego nie puścił. Ten dowcip kupił dla „Szpilek”

O KRYTYCE LITERACKIEJ I NACJONALIZMIE

c.d. rozmowy z **Alfredem Łaszowskim**

dy i wskazówki prawdziwie bezcennej. Jeśli rozmawiasz z kimś obcym, to najpierw spróbuj się zorientować, w jakiej klatce pojęciowej umysł jego został zamknięty. I zrozum, że u nas jeden z drugim gada jak gęś z prosięciem, bo obraca się w zupełnie innym wymiarze, dla swego partnera czy przeciwnika zgola niepojętym. Tacy myśliciele zachowują się tak jak te znane ci (ze słyszenia) monady Leibniza. Te, co wprowadzają krążyć wokół siebie, lecz wzajemnie się nie przenikają. Ty także nie wygrasz z nim żadnego sporu, jeśli nie nauczysz się mówić tym najlepiej mu znanym językiem i używać terminów maksymalnie dla niego komunikatywnych. Inaczej do zakutego łba nie trafisz! Zapamiętaj sobie raz na zawsze byku krasy, że każdy twój adwersarz jest w najgorszym razie doszczętnie już skolowaną ofiarą takiej czy innej głupiej mitologii, która go wewnętrznie zniewoliła i zdeformowała. I zechciej przyjąć do wiadomości, że każda prawda cząstkowa jest wężem wężem ducha. To samo dotyczy idei! Niejedna doktryna ma bardzo wiele racji w tym historycznym momencie, jaki ją zrodził, określił i uwarunkował. Ale ta sama koncepcja zrealizowana w gruntownie zmienionych warunkach i okolicznościach na wyjątkowo jej niesprzyjającym wrogi i obcym podłożu społecznym i ekonomicznym natychmiast przeobraża się w swe przeciwieństwo. Nabiera zbrodniczych cech despotycznych typowych dla bestialsko wynaturzonej tyranii. Podejrzanie to umocnił w nas książka Salamucha, znakomity filozof katolicki z dawien dawna przekonany o tym, że człowiek napiętnowany przekleństwem pierwotnego skażenia z natury rzeczy wypacza, a nawet zoży wszystko w co wierzy. Tak więc w świadomości naszej mit prometejski Przyboś, zderzył się z nader pesymistyczną historiozofią Zdziechowskiego i niezmiennie wpływowych katastrofistów wileńskich. A nade wszystko z szalenie nas przynębiającą i głęboko prawdziwą interpretacją chrześcijańskiego poglądu na świat.

A czy ów znak S. będący symbolem waszego klubu, nie był czymś intrygującym dwuznacznym? Co się za tym kryło? Sztuka czy socjalizm? Bo Pan przecież i całe tamto pokolenie uległo zaskakującym ewolucjom ideologicznym.

Tak. Kott zbliżył się do lewicy. A my-



Rys. Aleksander Pieniek

Minkiewicz, i on tam także nie przeszedł. Zrobił za to karierę w Ziemiańskiej. I to się na mnie zemściło. Cztery słowa za dużo i koniec.

Pan na początku swej działalności utożsamiał się z lewicą — prawda?

To był krótki okres. Ogłosiłem buntowniczy tekst w „Lewym Torze”. Pisałem reportaże z fabryk do „Robotnika”. A kiedy jakiś urzędnik podniósł czesne na uniwersytecie warszawskim i mocno uderzył nas po kieszeni, zorganizowałem wiec protestacyjny na dziedzińcu tuż pod biblioteką, wypadło mi wygłosić przemówienie nawołujące do obalenia rządu ówczesnego premiera Kozłowskiego. I w pewnym momencie padły takie słowa, że ktoś postanowił natychmiast to przerwać i krzyknął: Dość tego! Zamknąć mu pysk! Komuniści stanęli murem za mną. Pepesowcy działali bez przekonania. Mitzner dyskretnie mnie ostrzegł. To jednak nic nie pomogło. En-decy głośno gwizdali, a ja w dalszym ciągu wrzeszczałem jak opętany i zrobiłem się cały czerwony. Wtedy do akcji weszło aż czterech tajniaków. Bardzo zręcznie strącili mnie z piedestału. Dwóch mnie chwyciło za ręce, a tamci złapali mnie za nogi w kostkach. Wspólnymi siłami mocno rozkołosał me ciało i ku ogólnej ucieśze wynieśli i wyrzucili miotającego przekleństwa młodzika za bramę. Moi zwolennicy podążyli za mną. A tam czekały już na nas motopompy i wróciliśmy przemoczeni doszczętnie do domów. To wszystko działo się jeszcze za życia Komen-

danta. „Takie były zabawy i spory w one lata” — Hi — pisałby w tym miejscu Kisiel.

Dobrze. Lecz skąd się wziął ten radykalizm?

Ja (niestety jak to mówił Przyboś: „jest to kwestia hańby”), wywodzę się ze środowiska ziemiańskiego. Ojciec był oficerem austriackim, źle mówił po polsku. Ale w naszej armii awansowany został na podpułkownika osiemnastego pułku ułanów wołyńskich. Pod koniec życia musiał wyjechać z kraju, bo w czasie zamachu majowego i później stanął po złej stronie i związał się z generałem Sikorskim. Umarł na obczyźnie w południowych Niemczech w miejscowości Freiburg in Breisgau położonej w pobliżu granicy szwajcarskiej. Stamtąd za nic nie chciał powrócić do Polski. Opiekował się nami z daleka. Odwiedziłem go tam wielokrotnie. Przyboś z najwyższą niechęcią odnosił się do moich krewnych obszarników i „możnowładców”. O moim „złym pochodzeniu” mówił często złośliwie i ironicznie. A ja pod jego wpływem robiłem się coraz bardziej czerwony i zacząłem głosić te wywrotowe poglądy u nas na wsi, w najbliższym gronie rodzinnym i stałem się wtedy w ich oczach człowiekiem wewnętrznie rozdartym. zresztą na samym początku psychicznie podminowany uczuciem chrześcijańskiej litości dla nędzy, nie mogłem znieść jej widoku. A Przyboś dość wcześniej to spostrzegł i zdołał przekonać mnie o tym, że Kościół nie jest w stanie rozwiązać żadnych zagadnień społecznych. A te jego filantropijne akcje dobroczynne to są jakieś żałosne półśrodki. Dziś trzeba przebudować świat, a nie rozdawać żebrakom jałmużny. Nie nalewać im po misce gorącej zupy na obiad z góry wiedząc, że tak się nie zmieni ich losu. Mój mistrz oświadczył mi wręcz, że taka rodzina jak moja, to w Związku Sowieckim należałaby do kategorii tak zwanych liszcenców nie otrzymujących nawet kartek żywnościowych.

Ale w połowie lat trzydziestych dokonuje Pan radykalnego zwrotu. Pojawia się wówczas rozczarowanie socjalizmem, a zwłaszcza postawami radykalnej inteligencji wobec totalizmu.

Zaproponowano mi w niezmiernie eleganckiej formie, żebym wybrał się do Związku Radzieckiego na jakieś studia. Usiłowano mnie namówić.

Kto to Pana namawiał?

Mój kolega Dawid Hopenstandt, dość wybitny krytyk powiedział: Ty się tu marnujesz. Mógłbyś być działaczem wyższej rangi. Ale przedtem musiałbyś zobaczyć komunizm na własne oczy tak jak Gide czy Rolland. Poza tym Wanda Wasilewska mówiła mi: Towarzyszu, my nigdy nie wyzwolimy Polski od kapitalizmu bez pomocy Kraju Rad. Wtedy zrozumiałem, że jeżeli pójdę z nimi, to uwikłam się w jakąś agenturalną awanturę i trafię na wiele lat do więzienia. Druga rzecz. Moja ziemiańska rodzina zaprosiła mnie na ważną rozstrzygającą rozmowę w przededniu Świąt Wielkanocnych. Ktoś mi w istocie najbliższy zapytał, czy wiem ile milionów ludzi umarło z głodu na Ukrainie w czasie kolektywizacji i do czego ten system doprowadził gdzie indziej. Przedstawiono mi także niezwykle obszerną i autentyczną, szczegółowo udokumentowaną relację. Przerażającą opowieść o zbrodniach Stalina.

Rozmawiał: **Maciej Urbankowski**

**DOKOŃCZENIE
W NASTĘPNYM NUMERZE**

POLSKI PEN-CLUB

przyznał doroczne nagrody
za twórczość poetycką,
prozatorską i eseistyczną
(Fundacja Piotra Büchnera)

Laureatami są:

Ewa Lipska
prof. Stanisław Stomma
Piotr Wojciechowski

Przypomnę, że był pan także reżyserem jednej z ostatnich inicjatyw awangardy lat międzywojennych czyli Klubu S.

Tak. Ale znacznie większą rolę odegrał w nim Pietrzak, Kott i Matuszewski. Ja studiowałem wówczas historię filozofii u Tatarkiewicza. A jednocześnie wypadło mi się zapoznać z olśniewającą koncepcją estetyki Romana Ingardena. Klub S. podjął próbę odkrycia twórczej samowiedzy pokolenia w momencie szczególnie dla nas krytycznym. Bo myśmy już nie mogli i nie chcieli naśladować Skamandrytów. Nie pozostało w nas śladu z epoki Młodej Polski. Romantyzm w swej wersji męczeńsko-cierpiętniczej wydał nam się przestarzały i nieaktualny. A teraz należało krytycznie ustosunkować się do współczesnego dorobku awangardy i propozycji zawartych w książce *Walka o treść* Irzykowskiego. Generacja nasza nie miała już żadnych obciążeń niepodległościowych. Nie została „okuta w powiciu”. Wielu z moich kolegów uznało tak zwaną „żerom-szczyznę” za absolutnie niemodny i bezpowrotnie przebrzmiały wybuch staroświeckiej egzaltacji, stanowiący zbyt patetycznej. W tej dobie zaczął się już załamywać pierwotny żywiołowy charakter Skamandra. A my znaleźliśmy się w kręgu wpływów bardzo zdolnych katastrofistów wileńskich. Ten nadludzki trud związany z próbą określenia zagubionej tożsamości własnej — stał się dramatem naszej niezwykle ambitnej, burzliwej niespokojnej młodości. I wtedy ogarnęło nas głuche przecucie zbliżającego się końca wszechczasów. Jak dzisiaj. Ta analogia jest przerażająca.

Pana jednak te katastroficzne lęki nie poraziły?

Mnie nie. Ja byłem nabity prometejskim optymizmem Przybosa! On uważał, że człowiek może przegrać swoje życie. Ale ludzkość wygra je na pewno. Istotą jego wizji stała się postać człowieka bez granic. Duch jego codziennie przebijający swą miarę w nim samym — staje się największą niespodzianką dla siebie. A cóż dopiero dla jego współczesnych? Każdy z nas poddany działaniu pragnienia na wskroś oryginalnej samowiedzy twórczej — trwa w bezustannym pościgu za kimś nieskończenie mądrzejszym i doskonalszym. A tak myśląc stwarza się ciągle na nowo. On na pewno nie da się zakuć w dyby żadnego schematu. Rozwali ciasne ramy tradycyjnych poglądów na świat, stanie się bezlitośnie krytyczny nawet w stosunku do własnej doktryny poetyckiej. O tym Przybós przypomniał sobie pod sam koniec życia, kiedy już było po wszystkim.

Niech pan czujnie sprawdza swe determinanty — zawołał podczas naszego ostatniego spotkania Napierski. Czy pan wie kto pana duchowo zniewolił i uwarunkował? To przecież jest najważniejsze. Bez tego nie można zrobić ani kroku naprzód. Proszę sobie przypomnieć, czego

nas w swoim czasie nauczył Franz Fischer.

— No tak. To był drugi mistrz mojej młodości. Klub S. bardzo mu wiele zawdzięcza. On nigdy co prawda nie przychodził do nas, za to my często przysiadaliśmy do niego w literackiej kawiarni Ziemiańskiej. Już wtedy szalenie imponował nam ten starszy pan z olbrzymią brodą — największy żarłok w Warszawie. Taki współczesny Sokrates. Mędrzec najwyższej klasy światowej. Nieustraszonego pogromca wszystkich filozofów. Powie ktoś, że Nietzsche znacznie wcześniej dokonał generalnego przewartościowania najwyższych wartości. Fischer bardzo tej analogii nie lubił. Ale mniejsza o to. On zaraz na samym wstępie udzielił mi pewnej ra-

śmy prawie wszyscy wyszli z „Kućni Młodych”. Tak się nazywało to pismo satyryczne. Redaktorom w zasadzie szło o to, żeby generacja wychowana w Polsce niepodległej, spotkała się tam z kombatanami i ludźmi, co to państwo wskrzesili i wraz z nami pragnęli je teraz zorganizować i wzmocnić. Na tym podłożu wyrósł Związek Młodej Polski Jerzego Rutkowskiego. I Klub Jedenastego Listopada pod skrzydłami Rydza. Ja ich do siebie zraziłem ponieważ po śmierci Marszałka w jakimś wywiadzie prasowym zapytany przez dziennikarza, jak oceniam te historycznie nieuniknioną zmianę warty odpowiedziałem, że lepszy Rydz niż nic. To mi się jakoś wyrwało. Lecz cenzor tego nie puścił. Ten dowcip kupił dla „Szpilek”

O KRYTYCE LITERACKIEJ I NACJONALIZMIE

c.d. rozmowy z **Alfredem Łaszowskim**

dy i wskazówki prawdziwie bezcennej. Jeśli rozmawiasz z kimś obcym, to najpierw spróbuj się zorientować, w jakiej klatce pojęciowej umysł jego został zamknięty. I zrozum, że u nas jeden z drugim gada jak gęś z prosięciem, bo obraca się w zupełnie innym wymiarze, dla swego partnera czy przeciwnika zgola niepojętym. Tacy myśliciele zachowują się tak jak te znane ci (ze słyszenia) monady Leibniza. Te, co wprawdzie krążą wokół siebie, lecz wzajemnie się nie przenikają. Ty także nie wygrasz z nim żadnego sporu, jeśli nie nauczysz się mówić tym najlepiej mu znanym językiem i używać terminów maksymalnie dla niego komunikatywnych. Inaczej do zakutego lba nie trafisz! Zapamiętaj sobie raz na zawsze byku krasny, że każdy twój adwersarz jest w najgorszym razie doszczętnie już skołowaną ofiarą takiej czy innej głupiej mitologii, która go wewnętrznie zniewoliła i zdeformowała. I zechciej przyjąć do wiadomości, że każda prawda cząstkowa jest wzięciem ducha. To samo dotyczy idei! Niejedna doktryna ma bardzo wiele racji w tym historycznym momencie, jaki ją zrodził, określił i uwarunkował. Ale ta sama koncepcja zrealizowana w gruntownie zmienionych warunkach i okolicznościach na wyjątkowo jej niesprzyjającym wrogim i obcym podłożu społecznym i ekonomicznym natychmiast przeobraża się w swe przeciwieństwo. Nabiera zbrodniczych cech despotycznych typowych dla bestialsko wynaturzonej tyranii. Podejrzanie to umocnił w nas książd Salomucha, znakomity filozof katolicki z dawien dawna przekonany o tym, że człowiek napiętnowany przekleństwem pierwotnego skażenia z natury rzeczy wypacza, a nawet zożyda wszystko w co wierzy. Tak więc w świadomości naszej mit prometejski Przybós, zderzył się z nader pesymistyczną historiozofią Zdziechowskiego i niezmiennie wpływowych katastrofistów wileńskich. A nade wszystko z szalenie nas przynębiającą i głęboko prawdziwą interpretacją chrześcijańskiego poglądu na świat.

A czy ów znak S. będący symbolem waszego klubu, nie był czymś intrygującym dwuznacznym? Co się za tym kryło? Sztuka czy socjalizm? Bo Pan przecież i całe tamto pokolenie uległo zaskakującym ewolucjom ideologicznym.

Tak. Kott zbliżył się do lewicy. A my-



Rys. Aleksander Piątek

Minkiewicz, i on tam także nie przeszedł. Zrobił za to karierę w Ziemiańskiej. I to się na mnie zemściło. Cztery słowa za dużo i koniec.

Pan na początku swej działalności utożsamiał się z lewicą — prawda?

To był krótki okres. Ogłosiłem buntowniczy tekst w „Lewym Torze”. Pisałem reportaże z fabryk do „Robotnika”. A kiedy jakiś urzędas podniósł czesne na uniwersytecie warszawskim i mocno uderzył nas po kieszeni, zorganizowałem wiec protestacyjny na dziedzińcu tuż pod biblioteką, wypadło mi wygłosić przemówienie nawołujące do obalenia rządu ówczesnego premiera Kozłowskiego. I w pewnym momencie padły takie słowa, że ktoś postanowił natychmiast to przerwać i krzyknął: Dość tego! Zamknąć mu pysk! Komuniści stanęli murem za mną. Pepesowcy działali bez przekonania. Mitzner dyskretnie mnie ostrzegł. To jednak nic nie pomogło. En-decy głośno gwizdali, a ja w dalszym ciągu wrzeszczałem jak opętany i zrobiłem się cały czerwony. Wtedy do akcji weszło aż czterech tajniaków. Bardzo zręcznie strącili mnie z piedestału. Dwóch mnie chwyciło za ręce, a tamci złapali mnie za nogi w kostkach. Wspólnymi siłami mocno rozkołysali me ciało i ku ogólnej ucie-sze wynieśli i wyrzucili miotającego przekleństwa młodzika za bramę. Moi zwolennicy podążyli za mną. A tam czekały już na nas motopompy i wróciliśmy przemoczeni doszczętnie do domów. To wszystko działo się jeszcze za życia Komen-

danta. „Takie były zabawy i spory w one lata” — Hi — pisałby w tym miejscu Kisiel.

Dobrze. Lecz skąd się wziął ten radykalizm?

Ja (niestety jak to mówił Przybós: „jest to kwestia hańby”), wywodzę się ze środowiska ziemiańskiego. Ojciec był oficerem austriackim, źle mówił po polsku. Ale w naszej armii awansowany został na podpułkownika osiemnastego pułku ułanów wołyńskich. Pod koniec życia musiał wyjechać z kraju, bo w czasie zamachu majowego i później stanął po złej stronie i związał się z generałem Sikorskim. Umarł na obczyźnie w południowych Niemczech w miejscowości Freiburg in Breisgau położonej w pobliżu granicy szwajcarskiej. Stamtąd za nic nie chciał powrócić do Polski. Opiekował się nami z daleka. Odwiedziłem go tam wielokrotnie. Przybós z najwyższą niechęcią odnosił się do moich krewnych obszarników i „możnowładców”. O moim „złym pochodzeniu” mówił często złośliwie i ironicznie. A ja pod jego wpływem robiłem się coraz bardziej czerwony i zacząłem głosić te wyrotowe poglądy u nas na wsi, w najbliższym gronie rodzinnym i stałem się wtedy w ich oczach człowiekiem wewnętrznie rozdartym. zresztą na samym początku psychicznie podminowany uczuciem chrześcijańskiej litości dla nędzy, nie mogłem znieść jej widoku. A Przybós dość wcześnie to spostrzegł i zdołał przekonać mnie o tym, że Kościół nie jest w stanie rozwiązać żadnych zagadnień społecznych. A te jego filantropijne akcje do-broczynne to są jakieś żalozne półśrodki. Dziś trzeba przebudować świat, a nie rozdawać żebrakom jałmużny. Nie nalewać im po misce gorącej zupy na obiad z góry wiedząc, że tak się nie zmieni ich losu. Mój mistrz oświadczył mi wręcz, że taka rodzina jak moja, to w Związku Sowieckim należałaby do kategorii tak zwanych liszcenców nie otrzymujących nawet kartek żywnościowych.

Ale w połowie lat trzydziestych dokonuje Pan radykalnego zwrotu. Pojawia się wówczas rozczarowanie socjalizmem, a zwłaszcza postawami radykalnej inteligencji wobec totalizmu.

Zaproponowano mi w niezmiernie eleganckiej formie, żebym wybrał się do Związku Radzieckiego na jakieś studia. Usiłowano mnie namówić.

Kto to Pana namawiał?

Mój kolega Dawid Hopenstandt, dość wybitny krytyk powiedział: Ty się tu marnujesz. Mógłbyś być działaczem wyższej rangi. Ale przedtem musiałbyś zobaczyć komunizm na własne oczy tak jak Gide czy Rolland. Poza tym Wanda Wasilewska mówiła mi: Towarzyszu, my nigdy nie wyzwolimy Polski od kapitalizmu bez pomocy Kraju Rad. Wtedy zrozumiałem, że jeżeli pójdę z nimi, to uwikłam się w jakąś agenturalną awanturę i trafię na wiele lat do więzienia. Druga rzecz. Moja ziemiańska rodzina zaprosiła mnie na ważną rozstrzygającą rozmowę w przededniu Świąt Wielkanocnych. Ktoś mi w istocie najbliższy zapytał, czy wiem ile milionów ludzi umarło z głodu na Ukrainie w czasie kolektywizacji i do czego ten system doprowadził gdzie indziej. Przedstawiono mi także niezwykle obszerną i autentyczną, szczegółowo udokumentowaną relację. Przerażającą opowieść o zbrodniach Stalina.

Rozmawiał: **Maciej Urbankowski**

**DOKOŃCZENIE
W NASTĘPNYM NUMERZE**

POLSKI PEN-CLUB

przyznał doroczne nagrody
za twórczość poetycką,
prozatorską i eseistyczną
(Fundacja Piotra Büchnera)

Laureatami są:

Ewa Lipska
prof. Stanisław Stomma
Piotr Wojciechowski

PAWEŁ GRABOWSKI

DEBIUTY

MARCIN CHWISTEK

* * *

w domu społecznej nie-opieki
nie-obojętność nie-uśmiechy
siedząc staruszka nie-szczęśliwa
nie-boga bezustannie wzywa

pośród nie-żalu nie-tesknoty
ma tylko słońca promyk złoty
pająk na szybie siwy włos zaplata
i nie ma za nim za oknem nie-świata

jest tylko blisko tuż przy domu
ogród którego wcale nie-ma
ktoś inny ziarno wrzucił w ziemię
dłoń inna plon jesienny zbiera

w domu opieki nie-społecznej
gdzie dzień ostatni mija pierwszy
cichutko sunie przez korytarz
śmierć pensjonariusz najwierniejszy

kompetencje

pacjent chory na raka
prosi jeszcze o dwa trzy lata życia
chce być na weselach swoich dzieci
stoje zmieszany
nawet pan bóg patrzy na mnie
spode łba
mało przekonywająca argumentacja
mruczy

pacjent chory na raka jeszcze nie wie
że właśnie rozpoczął nową partię szachów
z panem bogiem
wynik jej zna tylko bóg i ja
trochę wchodzimy sobie w kompetencje
więc jeszcze szybka nauczka dla mnie

szybki kurs pokory
silna dłoń kogoś łapie mnie o pół kroku
od torów
tramwaj dzwoni zwycięsko
dopiero za chwilę puszcza
silna dłoń kogoś
kogo wcale nie prosiłem o życie

Dentysta

Pochylony, na biału ubrany
delikatnie struny strachu trąca.
Czy to anioł Panie Konstanty?
Angelologia? O nie — egzodoncja.

Słowo przecież równie ciepło brzmiące,
wzbudza słodki, tajemny niepokój
niczym skrzydła motyle na łące
jakby gwieźdźnym pyłem sypnąć wokół.

I gdy w dłonie uchwyci kleszcze,
dłuta, wiertła, narzędzia kaźni,
egzodoncja — tym słowem się pieszczę,
egzodoncjo — pomóż wyobraźni.

Chociaż chciałbym oknem wyfrunąć,
egzodoncjo — bólu w głębi czaszki
trudno się z dłoni silnych wywinąć —
nie ma w tobie niełaskawa łaski.

Więc nie pozwól się rozczarować
egzodoncjo, gdy będzie po wszystkim,
że nie jesteś, o srebrzystą, niczym innym
niż ten ząb wyrzucony do miski.

STO MINUT KAŻDEJ NOCY

Pawła osobiście poznałem stosunkowo niedawno. Pomimo tego, kiedy przypominam sobie początki naszej znajomości, wydaje mi się, że wydobywam na światło dzienne rzeczy zupełnie dawne i w hierarchii czasu graniczące co najmniej z moim dzieciństwem.

Konkretna zbieżność czasu i przestrzeni, którą mógłbym ogłosić pierwotną i wyjściową w naszej znajomości nie istnieje. Owszem, bez trudu przywołuję z pamięci pierwszy wieczór, gdy poznaliśmy się i naszą wtedy rozmowę: pamiętam naturalnie początkowe dni, gdy zamieszkał w sąsiednim pokoju i oczywiście cały szereg innych wydarzeń, które potem miały miejsce.

Dzisiaj jednak jestem przekonany, iż były one jedynie fakturą, skromnym odwzorowaniem tego, co działo się głębiej i było o wiele bardziej istotne.

Mam wrażenie, iż linie naszych żywotów musiały od zawsze przebiegać równolegle, spajane przybierającymi na sile anastomozami. Dlatego Paweł objawiał się we mnie rojem niejasnych przeczuć i kolorowych obrazów, a ja jednocześnie cały czas ocierałem się własną postacią o jego wyobraźnię.

Na wspólnej płaszczyźnie tych dwóch psychicznych światów rodził się załazek naszego spotkania i im była ona większa, tym ono bardziej nieuchronne.

Tak to obecnie widzę, zgoła dwa i pół roku od pierwszego, marcowego dnia, gdy sprowadził się do mnie. Wtedy to właśnie, własną osobą i dobytkiem skrzętnie wypełnił luki pokoju, jak mi się wydawało, dużego.

W ten sposób połowę pomieszczenia zajęły dwa olbrzymie, kreślarskie stoły, jeszcze poniemieckie tzn. solidne i kupione za grosze na wyprzedaży projektowej pracowni naszych chemicznych zakładów w mieście. Kąty zajęły wiklinowe kosze z rulonami papierów i sterczącymi zewsząd listewkami. Oprócz tego wszędzie obrazy — na ścianach pokoi, łazienki, kuchni: stojące w szeregu na podłodze, przy łóżku od strony ściany, ułożone piętrowo przy drzwiach balkonu. Na środku pokoju stare, ciemnozielone szuflady, jeszcze z pamiętajacymi odległą przeszłość zdobnymi uchwytami, pełne wyciśniętych do cna, tubek farby.

— Ależ one są jeszcze zupełnie dobre — wykrzyknął kiedyś oburzony, gdy próbowałem usunąć je na zawsze, torując sobie drogę przez jego pokój.

Pędzle zaś stały w zwykłych, dużych stojakach po konserwowych ogórkach i buraczkach na ostro, zajmując dużą część blatu jednego ze stołów. Na całej długości pokoju tkwiły, zepchnięte pod ścianę, regały pełne malarskich albumów, starych czasopism i już nie do opisanego sterty przeróżnych szpargałów.

Całość malarskich sprzętów stanowiła więc główną treść pokoju: wypełniała go zarówno przestrzennie jak i ograniczała czasowo, czyli inaczej mówiąc nie było w nim ani miejsca, ani czasu na pozamalarskie działania. Ku rozpaczy odwiedzających nas ludzi, a zwłaszcza rodziców, pokój Pawła stanowił swoisty skansen, gdzie wszedobylski zapach terpentyny i kurzu totalnie wypierał resztki neutralnego powietrza. Nie można się więc dziwić, że uważał się głównie za malarza, a studentem był od czasu do czasu i w dodatku niechętnie.

W przeciwieństwie do niego — ja wyposażony w status studenta medycyny, przyjąłem wraz z nim: codzienne zajęcia od ósmej do czternastej, natłok egzaminów i na koniec drugi pokój w mieszkaniu, które właśnie razem z Pawłem wynajmowaliśmy na obrzeżu dużej dzielnicy miasta.

Było to zupełnie nowe osiedle, ograniczone dwoma rozchodzącymi się pod kątem prostym ulicami. Tworzyły go bloki mieszkalne o bardzo różnych gabarytach, dokładnie według „widzi mi się” naczelnego architekta: pomiędzy nimi jak ziarnka piasku stały brudne, czarne domy byłych właścicieli tego terenu. Do centrum było stosunkowo daleko. Prowadziła tam długa, prosta dwupasmówka, która tuż przed rzeką rozdymała się w opasłe rondo, potem przechodziła w zgrabny most, a dalej już wciskała się pomiędzy budynki starej części miasta. Praktycznie codziennie przemierzałem tę trasę w kierunku klinik, gdzie odbywały się zajęcia. Spędzałem tam czas do południa, potem siłą rzeczy wspólnie z przyjaciółmi wypijałem upragnioną, czarną kawę: spacerowałem trochę po rynku i wracałem wczesnym popołudniem do mieszkania. Zdarzało się często, że wyciągałem wtedy Pawła z pościeli lub ewentualnie zastawiałem go w poplamionej farbami piżamie, z błędnym wzrokiem obudzonego w środku zimy niedźwiedzia.

Kiedy teraz lekko przymykam oczy patrząc na zapisane strony jawi mi się zielone tło tamtych dni, dokładnie takie samo jak na większości obrazów Pawła — spokojne i w miarę płynne, i wiem, że takie musiało być, by stworzyć głębie dla mającego nastąpić wydarzenia. Ale o tym później.

W tej opowieści brakuje jeszcze kluczowego rekwizytu, którego charakterystykę odwlekałem, aż do tego momentu, a w gruncie rzeczy najchętniej nie wspominałbym o nim w ogóle. Ale nie sposób. Chodzi o czerwone Renault-combi, stare już chyba 15-letnie, które do dziś stoi w najbardziej zapuszczonej rogu ogrodu moich dziadków. Paweł zostawił je tam na przechowanie po wypadku, ale tkwi do dziś i nikt nie ma ochoty się nim zająć. Naznaczone piętnem, straszy pajęczyną rozbitego fragmentu przedniej szyby i sztuczonym reflektorem. Z drugiej jednak strony doskonale wiem, że ja, stojący z boku tej sprawy, siłą losu, obserwator — nie powinienem traktować jej tak żywiołowo. NO, cóż... mimo wszystko, gdy każdej jesieni pojawiam się w ogrodzie dziadków z dużym wiklinowym koszem i grabiami, by uporządkować przed wiosną teren, instynktownie omijam tę część ogrodu, która już całkowicie zarosła i nawet bardzo zasadniczy w takich sprawach dziadek nie wspomina o tym słowem.

Samochód bez przeszkód wrasta w ziemię, tak jak moja pamięć z tego okresu traci priorytet zatapiając się w całe sterty innych wydarzeń. I czasem tylko, tak właśnie jak teraz, budzę się w środku nocy przerażony, odkrytą na nowo tragedią.

Skąd tak silna moja reakcja pomimo dwóch lat, które upłynęły i braku jakiegokolwiek uczestnictwa w samym wydarzeniu? Nie wiem. Może to tylko współczucie, a w zasadzie litość, karmiona wszystkim co nas różniło?

Kiedy jednak było już po wszystkim i poszedłem odwiedzić Pawła w klinice, doskonale wyobrażałem sobie, co może czuć. Pamiętam go, leżącego na środkowym łóżku dużej, szpitalnej sali — zrezygnowanego, na granicy płaczu i nerwowego załamania.

PAWEŁ GRABOWSKI ur. w 1964 w Krakowie, chirurg-stomatolog w Polsko-Amerykańskiej Klinice Stomatologicznej Dent-America w Krakowie.

Powiedział mi wtedy, że bardzo czekał na mnie i kiedy tylko przysiadłem na skraju łóżka nie bardzo wiedząc co mówić — on wyciągnął narysowany już plan drogowej sytuacji i zaczął mi tłumaczyć jak to się stało. Mówił głośno i wyraźnie, jakby siebie samego próbując przekonać i oswoić. Obaj pochylaliśmy się nad białym paskiem papieru, gdzie była już szeroka jezdnia, duży uliczny ruch, samochodowe korki, grupy pieszych. Znalazło się też czerwone Renault-combi, którym Paweł jechał na zajęcia oraz duży, biały Fiat parę metrów przed nim, na sąsiednim, bliższym osi jezdni pasie. Potem w sytuacji, którą jak mówił zupełnie kontrolował, sprzed Fiata wyrosły dwie staruszki — bliźniaczki, które trzymając się pod ręce z bezwładnością fizycznego ciała weszły wprost przed nadjeżdżający samochód Pawła.

Hamowanie, mimo małej prędkości, niewiele dało i siostry próbując się wzajemnie podtrzymać wpadły na maskę Renaulta uderzając głowami o prawo-dolny róg szyby.

Co było potem nie pamiętał, ponieważ sam uderzył głową o kierownicę tracąc przytomność.

Ocknął się dopiero w szpitalu. Na temat staruszek nikt nie chciał z nim rozmawiać. Paweł zdołał tylko wymusić informację, że obie żyją. Na jego prośbę sam poszedłem do dyżurki, aby dowiedzieć się czegoś więcej. Rzeczywiście obie żyły, natomiast jedna z nich była w stanie bardzo ciężkim. Jej śmierć była kwestią godzin, czego mu już jednak nie powiedziałem.

Mimo to w ciągu najbliższej doby świat Pawła rozsypał się na kawałki, utracił własną kubaturę tworząc metaliczną plamę. Naturalny, pulsujący rytm życia i śmierci, dnia i nocy, czuwania i snu rozmył się zupełnie w wątpliwej, zamazanej sennej aktywności. Jego wyobraźnia skarłała do wymiaru rzeczywistości, a technika i malarski warsztat wymknęły się spod kontroli.

Wypisano go do domu z rozpoznaniem „commotio cerebri”. Szereg wykonanych badań, łącznie z tomografią komputerową, nie wykazało żadnej patologii. Pozostało się jedynie cieszyć i uznać, iż z kraksy wyszedł prawie bez szwanku. Jednakże czas po wypadku, spędzone pod jednym dachem dni, rzuciły na zbyt jasne światło na postawioną lakoniczną diagnozę, ujawniając po raz kolejny, że ciasne pudło czaszki, już tyle razy otwierane w historii medycyny, nadal straszy nieodgadniętą głębią.

Płynna granica (?) między mózgiem, a umysłem w praktyce oznacza ścisły, formalny rozdział neurologii i psychiatrii. Paweł znalazł się gdzieś w środku — pomiędzy neurologicznym młotkiem, a psychoanalitycznym kowadłem.

Bo jak inaczej wytłumaczyć noc, kiedy budził się około północy, staczał z łóżka wprost na podłogę; mimo że z otwartymi oczyma, ale po omacku szukał wyslizganej rączki pędzla, moczył go w farbie i bez cząstki świadomości, tej choćby która pomimo dużego zaangażowania, pozwala zauważyć otaczające przedmioty, ludzi, potrafi określić porę dnia czy aktualne miejsce — malował?

Malował, aż zmęczone oczy przymykały się same i na powrót przed nadejściem świtu padał w łóżko. Kiedy budził się rano, zastawał rozpoczęte trzy, cztery obrazy, jeszcze ociekające farbą, i ze zdziwieniem dziecka biegł do swojego pokoju — pokazywał, stawał przed nimi jak dowódca, z dumną piersią, by zaraz potem radość związała się w kłęb, dając miejsce szerokiemu, ciemnemu przerażeniu:

— Jak ja mogę malować w zupełnej nieświadomości tego faktu? — wykrzykiwał.

W naszym mieszkaniu pojawiły się wyleniałe dworki z ciemnozielonym ogrodem, okaleczone róże na zimnym tle białej szyby, niewyraźne uliczki Kazimierza z białymi plamami rozwieszonych pieluch, pełne niepokoju sine szuwary, kulawe, surowe stoliki kryte zaroślami.

Na temat wypadku przestaliśmy rozmawiać. „Nocne dolegliwości” Pawła poczęły powoli wygasać. Natura przywróciła mu sny.

Sytuacja przerastała nas zupełnie. Skażony medycznym podejściem nie umiałem sobie nic wytłumaczyć, a i sam Paweł zdawał się być pochłonięty całkowicie wyższą siłą.

Prawda kołatała się gdzieś między nami, przykryta chropowatą powierzchnią faktów, dając o sobie znać tylko niejasnym, niepokojącym lękiem.

To było nie do zniesienia.

W niedługi czas po tym zmieniłem adres, mając nadzieję, iż życie umożliwi nam ponowne spotkanie, już dojrzalsze, wychodząc naprzeciw podświadomym dążeniom nas obu.

Czekałem na to kilka lat, a kiedy ta chwila rzeczywiście nadeszła ogarnęły mnie wątpliwości. Obawiałem się tego spotkania bardzo, zwłaszcza, że wiedziałem, iż będziemy musieli powrócić do tej czerwcowej historii — przypomnieć fakty, odgrzać atmosferę. Dlatego zdziwiłem się, gdy w kilku pierwszych zdaniach zagrzebaliśmy się zupełnie w gestwie zwykłej, sztucznej rozmowy. Oczekiwałem przecież czegoś więcej, choćby ze względu na wspólne, gorące przeżycia, które były nam dane. Tymczasem odnosiłem wrażenie, że Paweł w ogóle nie ma ochoty o tym rozmawiać. Moja wcześniej przygotowana, skrojona w zgrabne frazy opowieść, poczęła mnie uwierać. Czułem się nieswojo i niezgrabnie. Jego duży, gościnny pokój wydawał mi się bardzo obcy.

Rozmowa błędziła wśród wspólnych znajomych, wakacji, zagranicznych wyjazdów. Odpowiadałem zdawkowo, automatycznie. Nasz dialog rozlaźlił się, przeciągał, a nawet milknął w niemilosierne długie chwile kościelnej ciszy.

I wtedy właśnie, gdy zupełnie nic nie mówiliśmy, siedząc naprzeciw siebie, twarzą w twarz — powoli narastało nowe zrozumienie, łączyło nasze osoby w świeżą jakość, budowało swój własny mikrokosmos na bazie skurczonej, bolesnej nostalgii, która niespodziewanie nas ogarnęła.

— Chodź, coś ci pokażę — odezwał się nagle Paweł, trochę drżącym głosem, ale jakby jaśniejszym, młodszym.

Roztrzęsiony poszedłem za nim. Wyszliśmy na drugie piętro, by zaraz potem wspiąć się drobnymi, kamiennymi schodkami na niskie, ciasne poddasze.

Mimowolnie uśmiechnąłem się, doświadczając uspokajającego olśnienia, gdy stanąłem pośród zgiełku barw, zapachów tak dobrze mi znanych. Nie to miejsce i nie ten czas, jednakże bez trudu dostrzegłem tę samą wewnętrzną organizację, która spajając cały bałagan sobie tylko znanymi nićmi, nadawała mu smak — zauważalny.

Chodziłem wokół mansardy, krok w krok za Pawłem, któremu moje prawie dziecięce zadowolenie udzieliło się również. Niewiele rozmawialiśmy, lecz teraz właśnie rozmowa nie była nam potrzebna. Paweł podszedł do niewysokiej sterty obrazów. Przykryta była kawałkiem brezentu, który teraz gwałtownie odrzucił na bok. Wyciągane obrazy układał na sztalugach. Było ich dokładnie pięć. Wyraźnie odbiegały od całej reszty zapelniającej poddasze. Na początku nie potrafiłem określić na czym miałyby polegać ta z pozoru oczywista ich specyficzność.

Przeglądałem się im kolejno, z osobna i razem, kilkakrotnie, ale dopiero, gdy Paweł uśmiechając się nieśmiało i lekliwie dopełnił całości, stając pomiędzy nimi, rozpoznałem w nich materię tamtych dni, która krążąc w zamkniętym cyklu przyrody odnalazła się na obrazach Pawła.

Zrobiło mi się gorąco.

Duże skrzydło wentylatora, który pracował zawieszony u sufitu, niewiele dawało, mieszając tylko gęste powietrze. Wszystkie okna były szczelnie pozamykane.

Jeszcze raz spojrzałem na płótna.

Słońce oświetlało ich płaszczyzny równomiernie, nadając zawieszonym nad nimi pyłkom kurzu barwy obrazu — białe, zielone, czerwone. Dzięki temu nie były to już płaskie formy, lecz trójwymiarowe dzieła, które śmiało wkraczały w przestrzeń, przerastały to co zostało namalowane, tworzyły niesamowite, kolorowe struktury, układające się w powietrzu na kształt poszczególnych części ludzkiego ciała, które znów, wszystkie razem, zamykały się w jedną całość — zwiewny portret siwej staruszki rozpostarty na pięciu sztalugach.

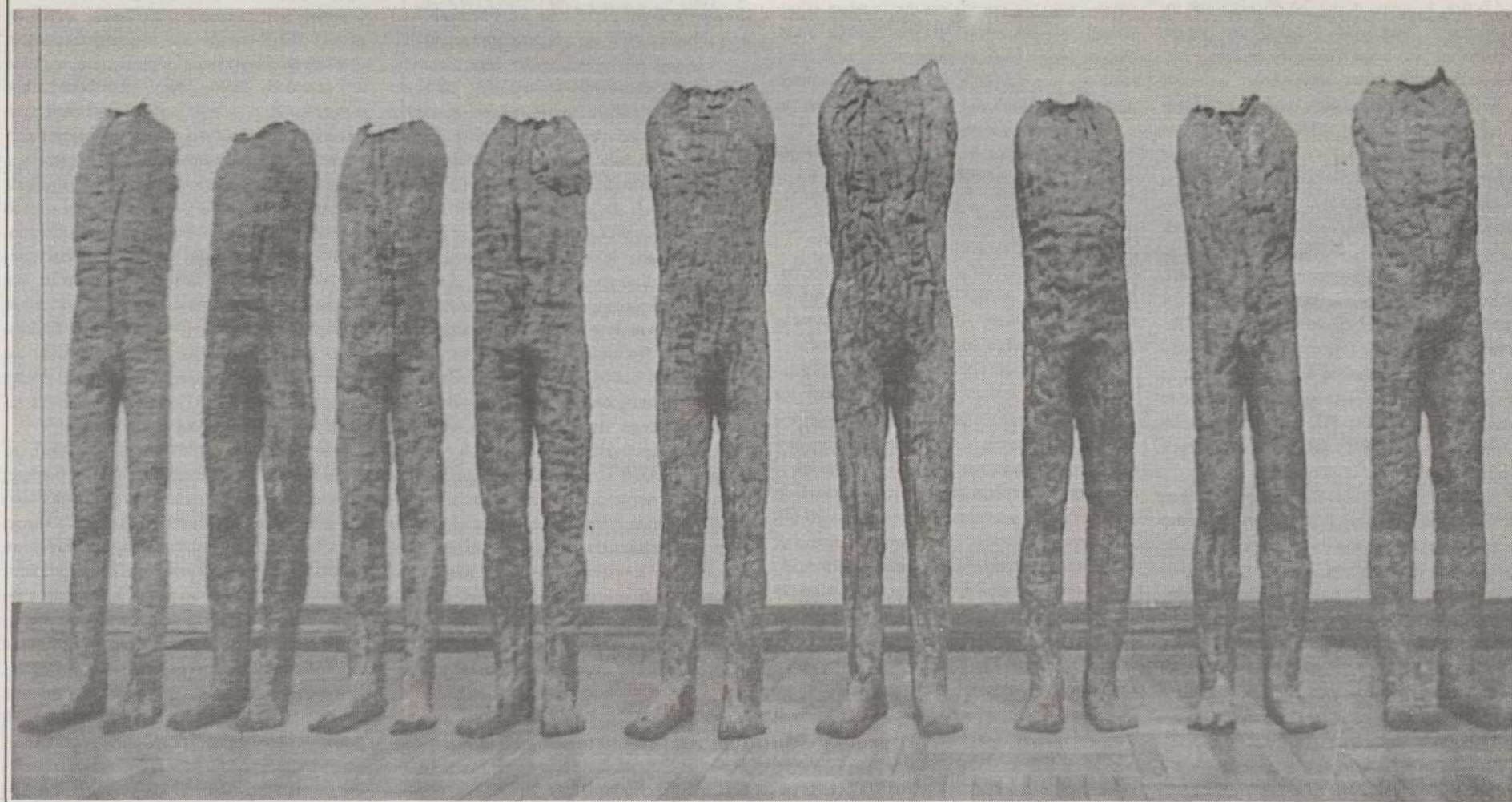
To było oszałamiające.

Kiedy Paweł nagle otworzył okno i silny podmuch wiatru poczęł burzyć ten misterny układ, widziałem jak wielobarwne cząstki postaci opadały jak mgła w wymiar obrazu, dodając białym dworkom delikatnej, srebrzystej siwizny; czerwonym różom trochę starczej godności; uliczkom Kazimierza szlachetnej powagi, a sinym szuwarom głębszej zieleni.

Poczułem ulgę.

Przy pożegnaniu Paweł podarował mi jeden z tych obrazów. Wisi do dziś dnia nad moim łóżkiem.

MAGDALENA ABAKANOWICZ, fragment ekspozycji w BWA, Kraków



Fot. Marcin Kędryna

KSIĄŻKI

Religijny – czy tylko estetyczny wymiar życia

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Pasja według św. Jana

Biblioteka Oddziału bydgosko-toruńskiego SPP
Bydgoszcz 1991.

Interesująca jest ta książka jako powracająca, po dość długiej przerwie, próba ekspresji „wnętrza”, próba wyznania. Tego nie uprawiano przez czas jakiś, wyznanie oddawano aktom „kreacji”, do zasobów wyobraźni sięgano po to raczej, aby odnajdywać tam obszar fantazji, wspomnienia, głosy przeszłości albo demony, zniekształcone przez dojrzałość dzieciństwo albo stłumione obsesje. Oznaczało to jakby oddzielenie się od autorskiego podmiotu, przejście w wymiar sztuki literackiej, gdzie bogactwo kreacji stawalo się donioślejsze od wewnętrznego obrachunku, powiem inaczej — od rozpoznania granic władzy nad sobą. Akt ekspresji pojmowany był jako akt wolności, nie zaś — odpowiedzialności. Szczególnie poezja stawala się taką próbą wyobraźni — i krytyka chciała zachwycić się jej niezgłębionymi treściami, gotowa do zawieszania innych miar człowieczeństwa. Ponieważ miarą wyobraźni jest jej wolność.

Wyznanie Krzysztofa Myszkowskiego rodzi się z zupełnie innej potrzeby, a mia-

nowicie z pragnienia „odnalezienia się” w zgiełku rzeczy i zjawisk, w chaosie czy zgoła bezsensie świata. Od pierwszej strony orientujemy się, że nie do „granic wolności” próbuje dotrzeć narrator, i nie nieukończoność, a tym bardziej nie nieobliczalność go zajmują. Jeśli wolno tak powiedzieć, cel wędrówki myślowej nie jest oczekiwany „tam”, „gdzie indziej” (poza zastanym konwenansem kultury), ale właśnie „tutaj”, „wewnątrz”, na obszarze zastanych treści i posiadanego języka, wśród rozsypanych znaczeń, wśród przeczących sobie wzajem sensów. Kim jestem i jak dotrzeć mam do siebie samego? Jak uchwycić własne „centrum”? Myszkowski zdaje się zakładać, że „środek rzeczy” jest w nim samym, tyle że ten środek gubi się nieustannie w natłoku doznań, wrażeń, niespójnych części i fragmentów. Inaczej mówiąc, obszar poszukiwań jest intuicyjnie określony, jakby wyczuwalny, sens nie jest „do zdobycia”, ale „do odbudowania”.

Można to nazwać także „próbą samoorganizacji”. Co objaśnia zamysł kompozycyjny tekstu: na kształt utworu muzycznego, symfonii, chorału, albo — jak tytuł sugeruje — pasji. Krótkie, kawałkowe zdania zbierane są jak dźwięki, ich spójność, najpierw nierozpoznawalna, wyłania się stopniowo, narracja ulega niejako organizacji, temat główny, najpierw sygnalizowany tylko (jak się to zdarza np. u Pendereckiego), zaczyna być powtarzany, aby stopniowo zawładnąć całością, wyłonić jej cel i sens. To wydało mi się pomyślowe, może nawet odkrywcze. Strumień świadomości nie jest mętnym potokiem, którym popłynie wszystko, cokolwiek chciałoby się wrzucić. Ten potok klaruje się stopniowo i odsłania swój nurt najgłębszy. Stanowi go zdanie: „Bóg jest miłością”. Tak to chyba „miało być”, a w każdym razie tak czytać można tekst Myszkowskiego. Ekspresja początkowego chaosu, która przechodzi przez kolejne fazy (można by niemal określać je jako tempa muzyczne), aby rozwiązać się w końcu serią akordów. Jako pomysł — urzekająca.

Ale koncert podobny, cóż, ma swój czas, którego części muszą być wypełnione. I nieuchronnie czeka nas informacja nie dająca się zasłonić urodą muzycznych przebiegów. Wyznanie ujęte w języku narzuca pewien element, z którym nie musi liczyć się muzyk, musi natomiast narrator: że wyprowadzone jest z jakiegoś doświadczenia, z jakiejś praktyki, z jakiegoś zdarzenia z życiem innych ludzi. „Odnaleźć siebie” — to jest zadanie, które niesie ze sobą świadomość innych wymiarów naszego życia, nie tylko estetycznych i niekoniecznie zmierzających do wzniosłości. W zdaniu, które czyni Myszkowski fundamentem kompozycji, zawiera się sens nie tylko transcendentny, ale także ludzki i ziemski. I budowanie własnej integralności staje się w tym właśnie wymiarze obrachunkiem z żywym i history-

cznym otoczeniem, bez czego końcowa estetyka wzniosłości przestaje być — powiem brutalnie — wiarygodna.

Owszem, zjawia się w tekście „motyw erotyczny”, nieudana próba stabilizacji poprzez związek z kobietą. Sekwencja ta jest w moim odczuciu literacko chybioną i maniera „beckettowska” staje się tutaj osłoną narracyjnej nieudolności. Narrator, jeśli do trzeciej chce do prawdy o sobie samym, musi przecież zorientować się, że poniósł klęskę, że zdanie-fundament chwieje się tutaj niebezpiecznie i rachunek jest dramatycznie otwarty! Cóż to za zgoda ze sobą samym (sekwencje finałowe), którą poprzedza podobna lekkomyślność? A „motyw erotyczny” jest w całym tekście jedynym fragmentem obrachunku z otoczeniem, jedyną próbą zbliżenia się do ludzi. Mimo woli przypomina się tutaj *Ład serca* Andrzeja Jędrzejewskiego: akt konfesji jest tam wyprowadzony z doświadczenia na wskroś ludzkiego wymiaru i dlatego właśnie może tak silnie przemówić do czytelnika. A u Myszkowskiego staje się jakby miarą czysto estetycznego uwarunkowania — i zestawienie go z oczekiwanym spektaklem muzycznym wydaje go nieuchronnie naszej ironii. A ludzie? — musimy się zapytać. Gdzie rachunek z ludźmi? Podmiot wybudowany na samej zdolności do wysokich stanów estetycznych, odsyła nas ku literackości. I — abym był dobrze rozumiany — nie o ortodoksję moralistyczną chodzi mi tutaj, ale o perspektywę poznawczą całości.

Tak więc książka Krzysztofa Myszkowskiego jest tylko zapowiedzią literackiego talentu, największe trudności dopiero przed nim i jego bohater rozpoczyna zaledwie swoje, ambitne próby określenia swego miejsca na ziemi. To miejsce ma wiele wymiarów i wielu wymaganiom musi sprostać. Najpiękniejsze symfonie i najwznioślejsze zaklęcia nie wystarczą, aby je odnaleźć.

Włodzimierz Maciąg

PRETEKSTY FILOLOGIA KLASYCZNA A PRAWDY ŻYWE

Pozwalam sobie na kilka uwag w związku z książką Marii Maślanki-Sory *Nauka poprzez cierpienie (pathei mathos) u Ajschylosa i Sofoklesa* („Universitas”, Kraków 1991). Nie będzie to żadna ocena, bo do tego brak mi kompetencji. Przeciwnie, z takich prac, jak ta, chciałabym, jako badacz literatury, możliwie najwięcej skorzystać, i o tym właśnie będzie parę słów.

Miałam to szczęście, że w mojej marnej skądinąd, prowincjonalnej szkole mogłam uczyć się łaciny. Z perspektywy czasu widzę, że żmudna, detektywistyczna praca nad rozwikłaniem budowy i sensu niewielkich tekścików roboczych, a potem fragmentarycznych próbek klasycznych autorów łacińskich, uformowała mój umysł, to znaczy przemożną, bezwiedną niemal potrzebę rozumienia, o co naprawdę w danej rzeczy chodzi oraz co z czym i jak w danej rzeczy się wiąże. Dzięki kontaktowi z łaciną wcześniej też uznałam kulturę antyczną za swoją, choć jeszcze ważniejsze okazało się tu wczesne młodzieńcze przejęcie się literaturą romantyczną, bo jak wiadomo, romantycy wielbili antyk. Więc ja za nimi.

Ale greki już w szkole nie miałam i choć na studiach polonistycznych wybrałam z literatury światowej starożytną, brak ten został mi do dzisiaj. Nie mnie jednej. To powszechna dziś luka w naszym wykształceniu humanistycznym, również wśród osób, które z profesji i z powołania zajmują się literaturą. A wiedza przecież aż nadto dobrze, jak daleko wstecz, ku jakim prądom źródłom, sięga w literaturze niemal wszystko — i chciałoby te źródła, mimo wszystkich ograniczeń, poznawać.

Na wspomnianą książkę zwróciłam uwagę z konkretnego warsztatowego powodu, bo gnębi mnie parę pytań związanych z chęcią, aby napra-

wę zrozumieć *Dziady*, a między innymi pytanie, co to naprawdę za przestroga, którą Pustelnik-Gustaw pragnie dać Księdzu — po „godzinie miłości” i „godzinie rozpacz” — w „godzinie przestrogi”, i po co; dotychczasowe bowiem odpowiedzi interpretatorów nie zadowalają mnie. Chodzi oczywiście o formułowany przez bohatera motyw przyjścia do Księdza i rozegrania przed nim na nowo dramatu żywych prawd swego życia, o czym mówi w pamiętnych słowach:

*Życie moje ścisnąłem w krótkie trzy godziny
I znowu wycierpiałem dla twojej przestrogi.*
A wcześniej:

— tylko dla nauki
Scenę boleści powtórzył zbrodnień.

Dla nauki teraz już nie własnej, bo tę już bohater poprzez swoje cierpienia, jak mówi, osiągnął, ale cudzej — słuchacza i widza swego powtórzonego dramatu, Księdza.

Etyczno-religijną koncepcję cierpienia jako następstwa winy etycznej (Pustelnik-Gustaw też mówi, acz niejasno, o jakiejś wielkiej swojej winie), jako kary za nią — i zarazem jako drogi prowadzącej do wewnętrznego poznania najgłębszych ludzkich i ponadludzkich praw i prawd, do wewnętrznych przemian, do wewnętrznego doskonalenia, koncepcję, którą starożytni ujmowali w formule „uczenia się poprzez cierpienie”, zwykło się wiązać w sposób oczywisty z religią chrześcijańską. Praca *Nauka poprzez cierpienie (pathei mathos) u Ajschylosa i Sofoklesa* pozwala uzmysłowić sobie, jak daleko wstecz, ku jakim prądom źródłom sięga ta koncepcja — i jak przejawia się ona w najdawniejszych dramatach starożytności greckiej, u samych początków europejskiej kultury. Przy czym, według starożytnych Greków, także „samo przeżywanie cudzego cierpienia może mieć moc wychowawczą” (s.

29, podkr. moje), moc, dzięki której dokonane się może głęboka, poznawczo-moralna przemiana w człowieku.

W romantycznych, acz jeszcze osiemnastowiecznych *Cierpieniach młodego Wertera* Goethego nie wspomina się już o żadnej nauce, mającej płynąć dla czytelnika z obrazu cierpienia bohatera — co przedtem, w literaturze XVII i XVIII wieku, zarówno w powieściach jak w dramatach, było stałym — acz sprymitywowanym — uzasadnieniem ich przedstawiania (formułowanym zazwyczaj we wstępach — i jeśli sobie z tego mało zdajemy sprawę, to dlatego, że najczęściej wstępy te, choć stanowią integralną część dzieła, pomijamy). Tutaj, co stanowi rzecz całkowicie nową, apeluje się już tylko — również we wstępie — do współodczuwającej, bo dobrze znającej te same cierpienia duszy czytelnika. Tymczasem w na wskroś romantycznych *Dziadach* czwartych motyw cierpienia dla nauki, co zaskakujące, wraca, i to w nie byle jakiej funkcji, bo aż jako uzasadnienie całego dramatycznego działania się, całej niezwyklej dramaturgii tej części utworu.

Czy jest to motyw chrześcijański, czy raczej antyczny u tego romantyka z gruntownym wykształceniem filologa klasycznego? Czy znalazł on dramaturgiczne uzasadnienia dla swojego niezwyklej dramaturgicznego nowatorstwa aż w Ajschylojskich początkach europejskiego dramatu? Czy ta moc poznawczo-moralna — dotyczącego najgłębszych, niewidzialnych praw i prawd człowieka i kosmosu — przemienienia duszy Księdza, przemienienia, jakiego spodziewa się Pustelnik-Gustaw po dramatycznym rozegraniu swoich cierpień przed Księdzem, to może tutaj Mickiewiczowska wersja prądom antycznej — i prądom doświadczenia — „uczenia się poprzez cierpienie” z najstarszych tragedii greckich?

Być może, ta akurat myśl interpretacyjna to tylko hasanie po epokach, ale czytając książkę Marii Maślanki-Sory zdałam sobie sprawę, że antyczna koncepcja „uczenia się (czy poznawania) poprzez cierpienie”, która znalazła wyraz w najdawniej-

szych dramatach starożytnych, w budowie postaci i losu bohatera, zasługuje na podobną, powszechniejszą znajomość i uwagę, jak słynna koncepcja starożytnej teorii odbioru dramatu — dramaturgicznej „katharsis”. I za to jestem autorce wdzięczna. Mam jednak również do niej pewne zastrzeżenia, i to jest drugi powód, że zabieram głos (choć może ich właściwym adresatem jest raczej wydawnictwo?).

Nie od rzeczy bowiem zaczęłam od tego, że jak większość humanistów w Polsce, nie znam greki. Otóż wielkim mankamentem książki jest to, że przy analizie tekstów dramatycznych cytatom greckim nie towarzyszą (z minimalnymi wyjątkami) przekłady filologiczne — lub bodaj (choć wiadomo, że przy tego rodzaju analizach mają ograniczoną wartość) fragmenty istniejących polskich tłumaczeń Ajschylosa i Sofoklesa: trzeba je sobie samemu podczas lektury pracy wyszukiwać w istniejących wydaniach. W ten sposób czytelnik traci to, co w książce najcenniejsze (dodajmy, że ponieważ nie są też tłumaczone czterojęzyczne cytaty z literatury przedmiotu, nie można korzystać z tej książki w ogóle w pracy ze studentami). I co więcej, w ten sposób z filologii klasycznej czyni się już nie tylko wąską, ale wręcz izolującą się specjalizację — z wielką szkodą dla wszystkich, to jest po prostu dla resztek świadomości źródeł naszej kultury.

Wiedzieć zatem, filologowie klasyczni, że jesteście ludziom potrzebni, i to może bardziej niż kiedykolwiek. Piszcie dla ludzi, a nie tylko dla samych siebie. Nawet gdy książka ukazuje się w nakładzie 830 egzemplarzy. Maria Janion raz po raz daje wyraz przekonaniu, że potrzeba nam nowego spojrzenia na polską literaturę romantyczną i że spojrzenie takie nie jest możliwe w humanistyce, która nie przyswoiła sobie światowego dorobku psychoanalizy. Podzielałam to przekonanie, a nawet coś niecoś próbuję robić w tym zakresie, ale może i druga wielka potrzeba tu istnieje przy tamtej potrzebie: przyjrzenia się na nowo a gruntownie romantycznym nawiązaniom do klasycznych, grecko-rzymskich tradycji europejskiej literatury.

Egon Naganowski, krytyk, eseista i tłumacz, jeden z naszych największych autorytetów w dziedzinie literatury niemieckiego obszaru językowego, wchodzi w bieżącym roku w wiek wspaniały — ludzie kultury wraz z gronem czytelników świętować będą osiemdziesięciolecie jego urodzin. W podobnych sytuacjach aż się prosi o postulowanie wznowienia co bardziej ważkich dzieł Jubilata, choćby takich jak znakomita literacka monografia Roberta Musila *Podróż bez końca*, czy rzecz o twórczości Jamesa Joyce'a *Telemach w labiryncie świata*. Znajac jednak sytuację naszej kultury będzie to zapewne jeszcze jeden głos wołającego na puszczę. Dlatego lepiej i sensowniej przejść od pobożnych życzeń do faktów dokonanych.

Takim właśnie faktem jest świeżo wydany przez poznański „Rebis” tom wspomnień Egon Naganowskiego zatytułowany nieco ekscytująco: *Młodzieńczy eros i inne wspomnienia z dawnych lat*. We wstępie do tej wędrówki w przeszłość autor przezornie odwołuje się do pobłażliwości czytelnika. Zaznacza, że to produkt uboczny, rozrywkowy, ale już w następnym zdaniu jakby zaprzecza samemu sobie: zaznacza bowiem, że ten marginesowy tekst ma jednak pewne znaczenie dla jego badań i przemyśleń. I tak jest z całą pewnością. Bo jak mógł nie odcisnąć się w przyszłej twórczości tak podstawowy biograficzny szczegół, że na świat przyszedł w Innsbrucku i do siódmego roku życia język polski był dla niego czystą egzotyką. Dopiero rok 1920 stanowi datę przełomową. Jest też zarazem pożegnaniem austriackiego dzieciństwa i związaniem się już na zawsze z właściwą ojczyzną — Polską.

Potem Grudziądz i Starogard Gdański,

Nowa psychologia i stara filologia, oto co by się tu przydało. I to nawet całkowicie się zgadza, zważywszy — na co już zwracano uwagę — jak dalece duch dociekań psychoanalitycznych bliski jest właśnie duchowi dociekań filologicznych, i to najtrudniejszych, bo dokonywanych na szczątkach zaledwie tego, co znać możemy, na ułamkach, które pozostały. Psychoanalizie zawdzięczamy dwudziestowieczne odzyskanie zainteresowania grecką teorią „katharsis”, bo w psychoanalizie — jako szczególnym doświadczeniu rozwojowym, przez które człowiek całym sobą przechodzi — pojawia się na nowo, acz w bardzo swoisty sposób, podobne doświadczenia ludzkie, którego istotę, przy innej okazji, próbowali starożytni uchwycić w tamtym pojęciu.

Ale i w Ajschylijskim „uczeniu się poprzez cierpienie” psychoanaliza mogłaby odnaleźć wiele swego, bo w doświadczeniu procesu psychoanalitycznego człowiek, podobnie, również poprzez cierpienie, nieraz skrajne, również dochodzi do rozpoznania, całym sobą, najgłębszych praw i prawd wewnętrznych.

Podrzuciłabym chętnie autorce książki *Nauka poprzez cierpienie...* pomysł sporządzenia małej, opatrzonej zminimalizowanym aparatem krytycznym książeczki, napisanej w sposób dostępny dla wszystkich, a ukazującej rzecz właśnie na konkretnych tekstach dramatycznych — tym razem w przekładach filologicznych (z pozostawieniem odpowiednio skomentowanych, podstawowych pojęć greckich, podobnie jak to jest w obecnej wersji książki w dołączonym słowniczku). Gdyby przekłady filologiczne konfrontować jeszcze, w miarę potrzeby, z istniejącymi polskimi tłumaczeniami literackimi odpowiednich dzieł, wartość wszystkiego byłaby jeszcze większa. Myślę o książeczce sporządzonej tak, aby mogła z niej korzystać już młodzież szkolna. Widziałam parę prac o *Antygonie*, napisanych w jednym z liceów społecznych, i myślę, że naprawdę jest dla kogo pracować — i trzeba.

Danuta Danek

gdzie w tamtejszych garnizonach służył ojciec, podpułkownik Naganowski, po latach dzielny obrońca Warszawy we wrześniowej obronie 1939.

Wczesna młodość przyszłego pisarza, opisana z nostalgicznym wdziękiem, pełna jest zadziwień. Poznawanie nowego świata odbywa się w aurze diametralnie innej niż w odległej c.k. Austrii. Mamy tu klimat międzywojennej Polski z przekazem rozmaitych odległych już, często zapomnianych szczegółów z dziedziny polityki, obyczajów i kultury. Pierwsze fascynacje literackie prowadzą od Karola Maya do Sienkiewicza, aby w końcu na progu młodości zakotwiczyć się na dobre w wyższych regionach pięknej sztuki czytania. Pojawiają się w jego rękach „Wiadomości Literackie”, czasopiśmiennicza biblia owych lat, Żeromski i Prus, Lechoń i Tuwim.

Obok szkolnych i gimnazjalnych przeżyć czyhają też na naszego bohatera coraz liczniejsze pułapki Erosa. Naganowski nie próbuje ani na moment kreować siebie na dostojnego starca. Wręcz odwrotnie: swoje pierwsze miłosne doznania opisuje bez hipokryzji i bez szczególnych oporów. Przydaje to książce wdzięku, przybliża autora, czyniąc go wiarygodnym i pełnokrwistym.

Dorośle życie zastaje go już w Poznaniu, gdzie po krótkim epizodzie prawniczym, ląduje ostatecznie na polonistyce. Tu styka się też z wybitnymi profesorami, tu także, obok nauki, oddaje się z pasją pracy społecznej, której to działalności pozostał wierny po dziś dzień, stojąc przez najtrudniejsze lata na czele konfraterni literackiej i wiceprezesując polskiemu PEN-Clubowi.

W Poznaniu na studiach poznaje swoją przyszłą żonę Irenę. Odtąd ich losy, nie

KSIĄŻKI

Wędrówka w przeszłość

EGON NAGANOWSKI
Młodzieńczy eros
i inne wspomnienia z dawnych lat
Dom Wydawniczy REBIS
Poznań 1992.

tylko osobiste, lecz i pisarskie, biegają przez lata wspólnie. Dzieła Manna, Dürrenmatta, Grassa, von Doderera, a także wiele innych utworów tłumaczonych z niemieckiego, to owoc pracy ich obojga. Irena Naganowska, osoba o niepospolitym uroku i zasługach dla kultury, jest wciąż w żywej pamięci ludzi pióra.

Ostatnia część wspomnień, to lata najtrudniejsze — wojna spędzona w Warszawie. Imając się rozmaitych zajęć Naganowski tkwi przede wszystkim w konspiracji. Wpada w końcu, jak to często bywało, przez głupi przypadek. Wędruje na Pawiak, skąd po długotrwałych, nader skomplikowanych staraniach i szczęściu udaje się go Irenie wydostać. Uniknął Oświęcimia, albo rozstrzału na ulicy po to, by już wkrótce znaleźć się w powstańczych szeregach.

Epopea sierpniowych i wrześniowych dni śródmiejskiej Warszawy pozbawiona jest w opisie Naganowskiego patosu i nadmiernego heroizmu. Relacja jest prosta, rzeczowa, niekiedy nawet nie pozbawiona czarnego humoru. I może właśnie dlatego tak przejmująca i wiarygodna. Rzecz kończy się tak jak kończył się najważniejszy rozdział życia walczących Polaków — podporucznik Egon Naganowski w porządnym uformowanych czwórkach idzie do niewoli.

Odkładamy tę osobistą, pięknie napisaną książeczkę z odrobiną niedosytu. Chciałoby się i dłużej i więcej. Ale chyba to nic straconego. Czekamy na ciąg dalszy.

Jerzy Korczak

■ K S I A Ż K I N A D E S Ł A N E ■

ZOFIA ZARĘBIANKA: CZŁOWIEK ROŚNIE W CISZY, Agencja Wydawnicza ZEBRA, Kraków 1992.

Tomik krakowskiej badaczki dwudziestowiecznej liryki religijnej — rekomendowany przez Wiesława Pawła Szymańskiego.

ROBERT MIELHORSKI: GÓRA SZYBOWCOWA I INNE WIERŚZE, Instytut Wydawniczy ŚWIADECTWO, Bydgoszcz 1992.

Autor — rocznik 1967 — jest absolwentem polonistyki. Debiutował opowiadaniem w roku 1989. Wiersze, prozę i krytykę publikował m.in. w „Okolicach”, „Odpowiedzialności”, „Akcencie”.

RENATA DULIAN: FORSYCJA ZAPRASZA, Kraków 1992.

Autorka tych wierszy — rekomendowanych przez Annę Kajtochową — jest absolwentką polonistyki UJ. Otrzymała m.in. wyróżnienie na konkursie organizowanym w 1991 r. przez Krakowski Związek Literatów Polskich.

JAROSŁAW BURGIEL: WYSZEDŁEM PO WIERSZ, Wydawnictwo Miniatura, Kraków 1992.

Udany debiut poetycki krakowskiego autora (rocznik 1962).

ŚWIAT VINCENZA, pod red. J.A. Choroszego i J. Kolbuszewskiego, Wrocław 1992.

Studia o życiu i twórczości Stanisława Vincenza (1888-1971). Publikacja zawiera materiały konferencji zorganizowanej w październiku 1989 roku przez IFP Uniwersytetu Wrocławskiego.

DOROTA ZARĘBSKA-PIOTROWSKA: TAJEMNICZE ENERGIE, Oficyna Cracovia, Kraków 1991.

Autorka w swym opracowaniu wprowadza czytelnika w podstawowe problemy bioenergetyki, odwołuje się do aktualnej wiedzy z zakresu psychologii, medycyny, fizjologii, fizyki, biometeorologii ORAZ antropologii. W sposób kompetentny uświadamia nam, iż rozwój cywilizacji powoduje oderwanie człowieka od natury. Jedność ze światem przyrody to konieczność dla prawidłowego, optymalnego funkcjonowania człowieka. Warunkiem jednak jest, aby każdy indywidualnie znalazł drogę do tej łączności z naturą.

KRESOWA WALCZY W ITALII, opr. Lucjan Paff, Oficyna Cracovia, Kraków 1992.

Pierwszy powojenny reprint książki, na którą składają się reportaże z walk dywizji we Włoszech i dwa opisy bitew o Cassino i Anconę, pisane przez żołnierzy dywizji oraz wiersze i artykuły o Wilnie i Lwowie.

LEON ZARĘBA: POLSKO-FRANCUSKI SŁOWNIK FRAZEOLOGICZNY, PWN, Warszawa 1992.

Znany romanista, autor wydanego przed kilkunastu laty „Frazologicznego słownika francusko-polskiego” dokonał w swym nowym dziele operacji odwrotnej: konfrontacji frazeologii polskiej z francuską, co jest zupełną nowością na naszym rynku wydawniczym. Słownik ten stanowi bezcenną pomoc dla tłumaczy i romanistów.

OFICyna LITERACKA

REINER KUNZE: JAK RZECZY Z GLINY, Kraków 1992.

Wybór liryki znanego i cenionego współczesnego poety niemieckiego w przekładzie Jakuba Ekiera.

ZBIGNIEW MACHEJ: TRZECI BRZEG, Kraków 1992.

Nowy tom liryki cieszyńskiego poety, zawierający wiersze oraz przekłady z Eliota, W.C. Williamsa i Ezry Pounda.

BERNARDO ATXAGA: OBABAKOAK W POSZUKIWANIU OSTATNIEGO SŁOWA, Kraków 1992.

Zbiór opowiadań baskijskiego autora wyrastających z przekonania pisarza, że pasja narracji jest jednym z głównych elementów budujących świat. Człowiek i jego los to opowiadanie zawarte w innym opowiadaniu, jakim jest przeznaczenie.

JULIUSZ KYDRYŃSKI: LENA CZYLI RZECZ O AKTORCE, Kraków 1992.

Próba ukazania artystycznego i psychologicznego portretu wielkiej artystki dramatycznej Ireny Eichlerówny (1908-1990).

TADEUSZ MICZKA: 10 000 KM OD HOLLYWOOD, Kraków 1992.

Pierwsza na polskim rynku historia kinematografii włoskiej od 1896 do połowy lat pięćdziesiątych XX wieku.

WYDAWNICTWO LITERACKIE

JÜRGEN THORWALD: STULECIE DETEKTYWÓW, przeł. Wanda Kragen i Karol Bunsch, Kraków 1992.

Pisarz legitymujący się skrupulatnością badacza, a jednocześnie obdarzony nieprzeciętną wyobraźnią plastyczną i psychologiczną, rekonstruuje w swej książce szereg wstrząsających faktów, jakie zanotowała historia kryminalistyki, nie pomijając postępu badań w tej dziedzinie i przytaczając wydarzenia, które przyczyniły się do kolejnych odkryć mających do dziś zastosowanie w praktyce policyjnej. Pasjonująca lektura!

Czasy były trudne. Od cesarza Franza poczynając, na najniższym urzędniku kończąc, wszystko służyło przestarzałemu, źle funkcjonującemu systemowi. Nie dopuszczano najmniejszego powiewu z zewnątrz. Cenzura, policja, sieć szpicli opanowały całkowicie aparat państwowy Metternicha, a ludność, zapatrzona w przeszłość, przyjmowała wszystko obojętnie, lub, ku zadowoleniu władz, oddawała się niegroźnym rozkoszom biedermeierowskiego życia.

Królewsko-cesarski radca szkolny Adalbert, czyli Wojciech Stifter szedł codziennie wcześniej rano do pracy, by w ciszy przed rozpoczęciem urzędowania poświęcić się twórczości literackiej. Dopiero potem załatwiał szkolną pisaninę. Na początku nawet go to cieszyło. Odczuwał przecież ogromną potrzebę czynienia lu-

swych nieukończonych prawniczych studiów, za spotkaniami z wielkim Franzem Grillparzerem, za całym tym środowiskiem, jakże różnym od tutejszego! Urząd inspektora szkolnego zaczynał mu ciążyć, marzył o niezależności, która jednak nie była możliwa ze względu na niezmiennie trudną ich — jego i jego żony Amalii — sytuację materialną.

Wbrew głoszonym przez Adalberta w jego pismach zasadom umiarkowania i skromności, wymagania finansowe rodziny Stifterów w miarę upływu czasu stale rosły. Niewiele mogły pomóc liczne zaliczki od wydawców oraz honoraria za publikowane opowiadania i powieści, nawet w okresie największej popularności pisarza. Stifter, mimo chorobliwej, nerwowej pedanterii nienawidził oszczędzania, a jego stosunek do spraw finansowych można

z postępującą marskością watooby. Niewiele dało przedłużanie urlopów, nie pomogły kuracje w Kirchschlag koło Linzu. Jeden z przełożonych Stiftera pisze więc do cesarza: „...sprawą honoru rządu austriackiego jest, by człowiek, mający tak wysoką rangę wśród austriackich pisarzy, będąc chorym nie musiał się martwić o utrzymanie”. Miłośnicy panujący własnie cesarz Franz Josef przychylił się do prośby, zachowując pełną miesięczną gażę i nadając jednocześnie Stifterowi tytuł Hofrata (radcy dworu).

Kończył się rok 1865. Niedługo cieszył się Stifter odzyskaną wolnością. Dręczony chorobą, w rozstroju nerwowym w nocy 26 stycznia 1868 roku podciął sobie brzośnię gardło, a za dwa dni umarł nie odzyskując przytomności. Wielkość małego, zwykłego życia, którego pochwałę uparcie głosił, życia „...pełnego sprawiedliwości, prostoty, zwycięstw nad samym sobą, rozsądku, działania według możliwości, podziwu dla piękna, połączonego z pogodną, niefrasobliwą śmiercią” — wielkość ta okazała się teorią na papierze.

Stifter był człowiekiem o popędliwej, szarpanej namietnościami naturze, z góry jednak odzeganym się od wszelkiej namietności jako czegoś nieobyczajnego. Przycłoczony poczuciem winy z powodu tego, że jest taki, jaki jest, staje się piewą niewinności, umiarkowania i prawości, głosić słynnego „łagodnego prawa” (saufte Gesetz). Ta łagodność nie oznacza jednak automatycznie harmonii. Obejmuje ona bowiem także paradoksy natury, które człowiek może przezwyciężyć dzięki umiarkowanemu i uporządkowanemu działaniu. Gdzie zanika umiarkowanie i umiejętność odróżniania zła od dobra, tam jednostkę, a nawet cały naród czeka zagłada. Natomiast tam, gdzie to prawo rzadzi, gdzie każdy człowiek jest dla drugiego wartością, znajduje się prawdziwa wielkość. Jest to wielkość zwykłych pozornie codziennych czynności, które są korzeniami życia.

Doświadczony przez los, sam uważający się za prześladowanego nieszczęściem, Stifter chciał koniecznie uchodzić za człowieka szczęśliwego, a nawet, wbrew faktom, czuć się szczęśliwym, choć w rzeczywistości nie zaznał innego szczęścia niż to, jakie dawała rodząca się w bólach twórczość. Całe życie niczego bardziej nie pragnął niż przyjaźni i miłości, a stawał się coraz bardziej samotny. Nie dopuszczał jednak, by wątpliwość na przykład w jego szczęście małżeńskie. Pisał do swej starzejącej się żony banalne listy miłosne, licząc się zapewne z ich publikacją, by z rzadka tylko przyznać się przed samym sobą i najbliższym przyjacielem, jak bardzo cierpiał w tym niedobranym związku. Prowadził więc szczególnego rodzaju podwójne, a nawet potrójne życie. Narzucił sobie miłość do zimnej, bezdusznej kobiety, podczas gdy prawdziwe uczucie należało do innej, nie żyjącej już, powracającej jednak stale pod różnymi postaciami w jego dziełach.

Stwierdzenie, że dopiero nieszczęśliwa miłość do Fanny Greipl zrobiła z niego pisarza, byłoby zbyt pochopne, niewątpliwie jednak miłość ta, skrycie lub jawnie, stale powracała w jego twórczości. Od czasu też gdy odkrył, że nic innego mu nie pomoże, jak tylko „produkowanie”, przestał być „niedzielnym poetą”. Pisanie było już dotąd koniecznością. Pod jego piórem miał powstać świat, niewinny świat sztuki i piękna, przeciwieństwo zgrzebnej rzeczywistości, w której przyszło mu żyć. Uduchowieni mężczyźni i kobiety, wolni i szlachetni kosmopolici, książkowy przekład Stifterowskiej propozycji życia pełnego harmonii, byli jakby stworzeni do założenia na ziemi „królestwa rozsądku”, w którym w ludzkich żyłach zamiast krwi popłynąłby sok brzozy, łagodzący wszelkie namietności.

Zawsze świecie wierzzył Stifter w swe powołanie artystyczne, długo nie mogąc sobie jasno uświadomić jego kierunku. Tym powołaniem było właśnie malarstwo krajo-

zowe, podawał je zresztą jako swoją profesję, nawet wtedy, kiedy wybierając spośród dwóch uzdolnień, postanowił zostać pisarzem. Dopiero w wieku 35 lat zdecydował się na publikację swej prozy. W kwietniu 1840 r. pojawiło się w „Wiener Zeitschrift” jego pierwsze większe opowiadanie *Der Condor*, jeszcze w tym samym roku *Die Feldblumen* (Kwiaty polne), i rozpoczęła się pisarska kariera największego niemieckojęzycznego prozaika. W latach 1840-1850 w popularnych gazetach i almanachach ukazały się 24 opowiadania. Dziewięć spośród nich weszło do 6-ciotomowego dzieła pt. *Studien*. Po ukazaniu się opowiadania *Wahlgänger* pojawiły się głosy krytyczne i nastąpił spadek popularności Stiftera.

To jednak, co potrafił pisarz, nie zawsze udawało się malarzowi. Nie wystarczało, jak sądził, „oddać wiernie rzeczywistość, taką jaka jest, by stworzyć wspaniałe dzieła”; przewodziła siłą duchową bijąca z niektórych jego obrazów ocenia się często jako fenomen moralny, nie malarski. Od 1832 r. malując farbami olejnymi, nie zdołał na początku wyjść poza dyktandkie próby naśladowcze. Dowodem coraz większej samodzielności twórczej staje się jego niezwykła wprost artystyczna swoboda lat następnych. *Ein Blick auf Wiener Vorstadthäuser* (Rzut oka na wiedeńskie przedmieście), i następne obrazy bronią się już zdecydowanie biedermeierowskiej idylli i zostaną słusnie zaliczone do wczesnego niemieckiego impresjonizmu. Po biedermeierowskim realizmie pejzaży okresu wiedeńskiego, który rozwinął się aż po wczesnoimpresjonistyczną sztukę nastroju, obrazy Stiftera z czasów pobytu w Linzu odznaczają się uogólniającą symboliką, przy jednoczesnej realistycznej wierności szczegółom.

Od początku 1854 r. Stifter prowadził przez 14 lat „Dziennik malarski”, w którym odnotowywał każdą minutę poświęconą swym pejzażom. Psycholodzy widzą w tej dokładności chorobliwą pedanterię, łączoną z przybierającymi wciąż na sile stanami nerwowymi. Stany lękowe, wybuchowość, bezpodstawne przerażenie — można się tu doszukać wielu przyczyn — najważniejsza jednak z nich skrywa się zapewne w duchowych obszarach psychopatycznego talentu. Stifter cenił prawdę i otwartość, chętnie mówił i pisał o sobie w listach, a jednak nikt nie miał do niego dostępu. Tendencja do skrywania, a nawet przemilczania istotnych wątków stała się jego metodą pisarską. Zepchnięte w podziemie i duszone uczucia znalazły też sobie inne ujście. Namietności, grożące człowiekowi, a napiętnowane jako nieobyczajne i niegodne, wybuchnęły ze zdwojoną siłą we wspaniałe przedstawionych katastrofach natury, pozwalających wyczuwać demony czające się za prostotą i niewinnością pierwszoplanowych postaci.

Adalbert Stifter nie jest w żadnym wypadku malarzem idylli, za jakiego długo go uważano. Nie jest też w swych książkach piewą niewinnego piękna natury. Przedstawia zagrożenie człowieka przez jej elementarną, gwałtowną potęgę, choć próbuje przekonywać, że kto dokładnie obserwuje i zna naturę, może się przed nią chronić. Dla wychowanego w duchu Oświecenia Stiftera nauki przyrodnicze są rozsądnym i pozytywnym instrumentem badawczym świata. Przy ich pomocy mogą zostać odsłonięte „tajemnicze związki i wielkie prawa stworzenia”, „Nie ma losu i żadnego fatum, żadnej przypadkowości, żadnego braku rozsądku bytu”. Ciśnienie sił, które Stifter próbował zagłuszyć i ukryć — było jednak tak wielkie — że sam w końcu doprowadził swoje dowody do absurdu.

Anna Milanowska

Literacki i artystyczny portret Adalberta Stiftera ukazuje wystawa *Przerażające piękny świat. Między narodowe Centrum Kultury w Krakowie (22 stycznia-28 lutego 1993)*. Wspólnie z Centrum organizatorami wystawy byli: Wydział Kultury Rządu Krajowego Górnej Austrii, Instytut Adalberta Stiftera w Linzu oraz Muzeum miasta Krumlor (Południowe Czechy).



LIST Z WIEDNIA ILUZORYCZNE KRÓLESTWO ROZSĄDKU



Albert Stifter. Zdjęcie z roku 1863, wykonane przez nadwornego fotografa Ludwika Angerera, Wiedeń

dzi lepszymi! Wychowanie było dla niego w ogóle pierwszym i najświętszym obowiązkiem państwa, a prawdziwe wykształcenie ludzi wydawało mu się środkiem na wszystko. Sam opracował nawet system szkolnych reform. Wkrótce jednak dane mu było poznać inną, uciążliwą i mało atrakcyjną stronę służby urzędniczej: skostniała obojętność zwierzchników dała mu się nieźle we znaki.

Po roku pobytu czuł się w Linzu jak na wygnaniu: tęsknił za Wiedniem, miastem

określić jako co najmniej pozbawiony wszelkiego realizmu i poczucia rzeczywistości. A pani radczyni, kobieta obrotna, z zawodu była sprzątaczką, osoba prosta by nie rzec wręcz prostacka, także chciała ubierać się modnie i jeździć fiakrem, co zresztą mąż gorąco popierał. Mieli też państwo Stifterowie stałą lożę w teatrze, gromadzili piękne meble i bibeloty; oboje lubili dobrze zjeść, wydawali na wina i cygara. W tej sytuacji o porzuceniu posady nie było co marzyć. Wątpliwa wolność przyniosła Stifterowi dopiero gwałtowne nasilenie się choroby. Prześladowające go od dawna poczucie wewnętrznego rozdarcia i załamania psychiczno-nerwowe wzmożyły się teraz i połączyły w diabelskie koło

ADALBERT STIFTER, pisarz i malarz austriacki epoki Biedermeiera, ur. 23 października 1805 w Oberplan w południowych Czechach (Böhmen), zm. 28 stycznia 1868 w Linzu w Górnej Austrii.

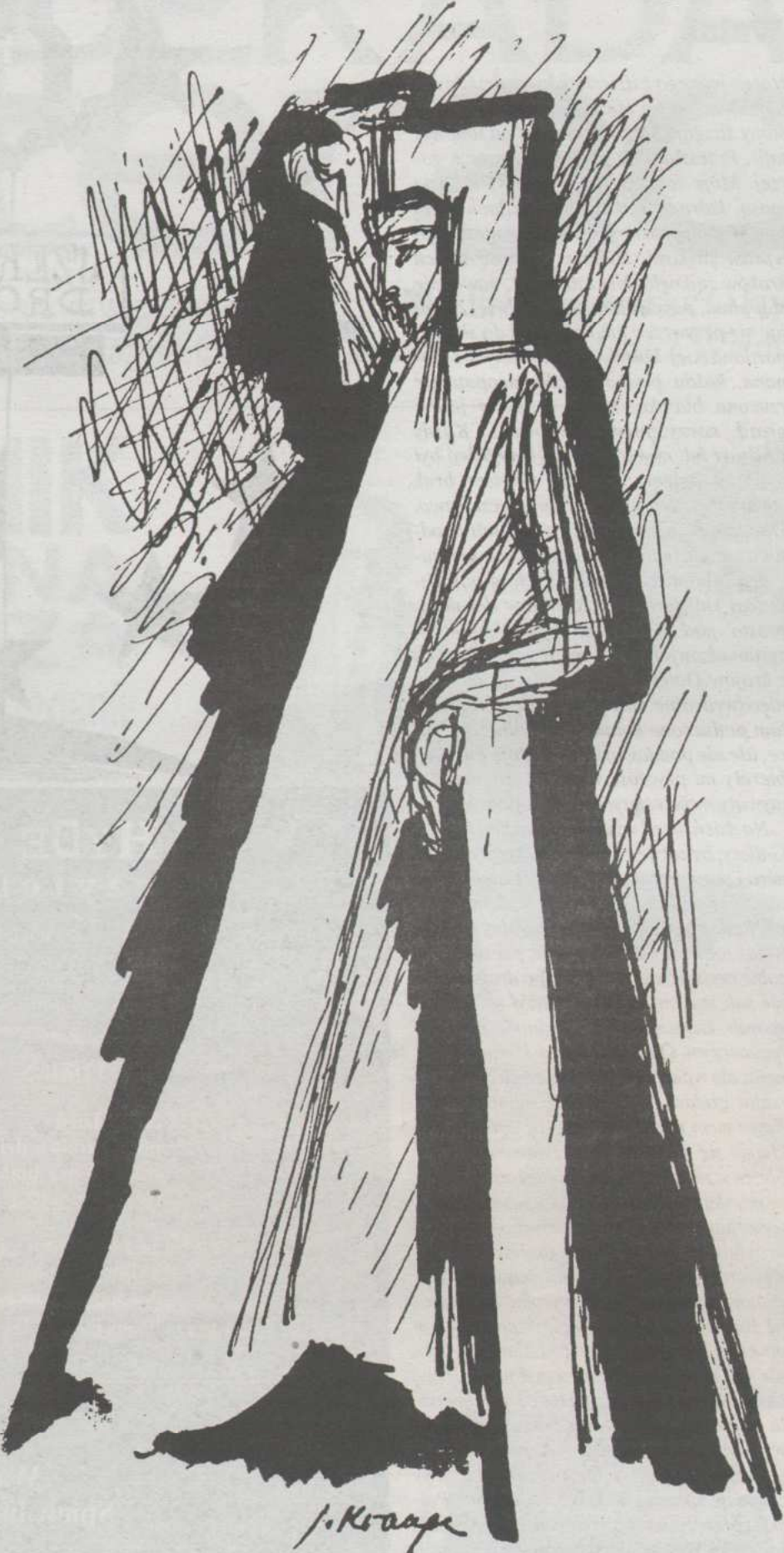
Mówiono o niej „Hrabina”. Wy-smukła, dystygowana, o nienaga-nnych manierach i arysto-kratycznej prezencji sprawiała wrażenie damy z kina retro. Kiedyśmy ją, Marię-Lilę Krasicką żegnali na Cmentarzu Rako-wickim w przedostatnim dniu starego ro-ku, przychodziła refleksja, że po Jej ode-jęciu teatr śmierci Tadeusza Kantora na-biera jeszcze bardziej dramatycznej wy-mowy. Lila Krasicka była najstarszą przy-jaciółką Kantora, powierniczką Jego naj-trudniejszych spraw, niezwykle wciele-niem kantorowskiego teatru śmierci. Rolą Nieobecnego Staruszka w *Umarłej Klasie* przeszła do historii teatru. Była w niej tak świetna, że Kantor pozwolił sobie na ma-kabryczny żart: „Lila, czasami nie umieraj na scenie, bo nikt tego nie zauważy”. Wy-suszona, majestatyczna, utrzymująca swoje ciało w stanie idealnego bezruchu, stanowiła nieodzowny element równowa-gi w spektaklu. *Umarła Klasa* miejscami pełna euforii, szaleństw, komizmu, właś-nie w roli Nieobecnego Staruszka uzyska-wała punkt ciężkości. Realna, a zarazem nieobecna nie dawała nam zapomnieć, że wraz z Kantorem-demiurgiem wkroczyli-smy w zakazaną otchłań.

Już w czasie tworzenia przez Kantora te-atru podziemnego, pani Lila odgrywała w nim ważną rolę. Tadeusz Kantor od począt-ku liczył się z jej zdaniem, widząc w niej ko-goś niezastąpionego. Lila zagrała główną rolę w słynnej *Balladynie*. Zachowały się zdjęcia i rysunki z tej okupacyjnej insceni-zacji: na konstruktywistycznym tronie, ubrana w awangardowy kostium, wyniosła, o przeszywającym a zarazem demonicznym spojrzeniu, postać młodej — pięknej dziew-czyny. Kantor miał znakomitą zdolność wy-akcentowywania cech charakterologicz-nych aktora. Można zabawić się w astrologa i rzec, że Kantor — tak jak w przypadku Je-rzego Turowicza, któremu powierzając rolę niezłomnego rycerza-Kirkora, przewidział jego przyszłe losy — tak samo uczynił z Li-lą Krasicką — Balladyną. Obdarzona naturą władczą i niepospolitymi talentami, nie mogła uporać się z jakimś fatum ciążyącym nad jej życiem: przepojone miłością, a jed-nak nieudane małżeństwo, trzykrotna utrata własnego domu, niemożność całkowitego spełnienia się w sztuce. Po skończeniu kon-servatorium muzycznego w klasie prof. Roman Palestra, zapowiadała się na świetną pianistkę. Niespodziewanie ujawniony ar-tretyzm ręki spowodował jednak konieczność porzucenia marzeń o karierze muzycz-nej. Podobnie z przewlekłą chorobą oczu, która pozbawiła ją na długo kontaktu z ma-larstwem. To, co piszę o jej losie jest obie-ktyną prawdą. Jednak wiem, że pani Lila mogłaby już zaprotestować. Nie znosiła bo-wiem narzekania i mazgajstwa. Jej twardy charakter nie pozwalał na rozklejanie się. Miesiąc przed śmiercią napisała do mnie list, bym sobie nie myślał, że już „zdechła” i „do niczego”. Lubiła ostry żart i ironię, każdego kto się z nią zetknął chroniła skutec-znie przed patosem i fałszem. Chętnie wysłuchiwała, pomagała — służyła innym, na-tomiast sama pozbawiona potrzeby uzew-nętrzniania się.

Pomimo uzyskanej pozycji, jakby piła ze swojej aktorskiej sławy. Unikała jak ognia dziennikarzy, fotografów: nie chcia-ła, aby ktoś notował jej myśli, nie prowa-dziła dziennika, zapisków. Pozostała na kasetach filmowych, plakatach, w pamię-ci przyjaciół: Balladyna, Nieobecny Sta-ruszek, Matka.

Zbigniew Baran

BALLADYNA



Janina Kraupe: Szkic z *Balladyny* (1943)

Zespół opracowujący dokumentację podziemnego życia teatralnego na terenie całego kraju w okresie od 13 grudnia 1981 do 31 grudnia 1989

uprzejmie prosi o wszelkie informacje dotyczące występów teatralnych w mieszkań-ach prywatnych i kościołach, represji z nimi związanych, anegdot, recenzji i omó-wień w prasie podziemnej oraz utworów scenicznych i scenariuszy (maszynopisy, edycje książkowe, nagrania).

Informacje te prosimy nadsyłać na adres:

Marta Fik
Pracownia Teatru
INSTYTUT SZTUKI PAN
Warszawa
ul. Długa 28

Camera obscura

Jerzy Hordyński („Przekrój” nr 48) odpowiadając sobie na pytanie, dlaczego na obrazie Kossaka podarowanym przez premier Suchoc-ką papieżowi trębacz krakowscy nie są na ko-niach, pisze: „To Juliusz Kossak. Konie przede wszystkim malował Wojciech.” Wy tłumacze-nie nieco kulawe. I ojciec i syn malowali konie: co więcej — właśnie Juliusz często malował tylko okazy koni, podczas gdy u Wojciecha występują one w scenach batalistycznych czy rodzajowych. (hm)

„Polityka” (nr 52) pisze, że wydany ostatnio „Suplement” do „Słownika języka polskiego” Szymczaka zawiera wyrazy nowe, a także te, które upowszechniły się bądź utrzymały w ję-zyku „mimo że wcześniej nie były rejestrowa-ne i były wypychane poza obręb oficjalnej pol-szczyzny” — a zatem „jest próbą określenia normy tzw. ogólnego słownictwa wykształco-nych Polaków”. Niezupełnie to ściśle w sto-sunku do tego, co napisano w przedmowie, gdzie wyraźnie się stwierdza, że „Suplement” zawiera również wyrazy w dawniejszych słow-nikach (przede wszystkim Doroszewskiego) notowane, a tylko w „Słowniku” Szymczaka pominięte. Nie biorąc tego pod uwagę „Polity-ka” traktuje jako nowe bądź teraz dopiero upra-womocnione takie słowa jak „geszeft”, „pi-cus”, „tentegować”, „goj”, „hucpa”, „meches”, „póldziewica” (znane i używane od ukazania się książki Prevosta pod tym tytułem w r. 1894), „rypać” („Maryna, rypaj zapalić lampę” — pada w „Doktorze Piotrze” Żeromskiego), „party”, „sztachać się”, „żydokomuna” itp. A jeżeli chodzi o „dupka”, to znajdziemy go na-wet w „Beniowskim” Słowackiego — co pra-wda wykopkowanego. (hm)

Jan Koprowski („Lektura” nr 7-10) pisze, że „Galicja dała Polsce wielu wybitnych ludzi jak Wilhelm i Józef Feldmanowie, Maurycy i Leo-pold Gottliebowie, Juliusz Kleiner, Ostap Or-twin czy Bruno Schulz, a Austrii i Niemcom ta-kich myślicieli i pisarzy jak Zygmunt Freud, Martin Buber, Józef Roth”. Poza Freudem (któ-ry rodem był z Moraw, nie z Galicji, wbrew te-mu co napisał Miłosz w „Traktacie poetyc-kim”) — to prawda. Ale dlaczego Koprowski zauważa tylko Galicjan żydowskiego pocho-dzenia? Czy Fredro, Matejko, Wyspiański albo Witkacy nie byli Galicjanami? (hm)

Zbigniew Florczak („Nowe Książki” nr 11) w związku z wznowieniem „Opowieści biograficz-nych” Berenta utrzymuje, że dopiero to wydanie wydobywa tego pisarza z „jamy zapomnienia”: jest przeświadczony, że od r. 1956 powieści Be-renta nie wydawano i wysuwa przypuszczenie, że widać „jakieś grono naukowców, kreowane przez Boleckiego już od dłuższego czasu musiało się do tego przewrotu gotować”. Autor nie wie — jak się okazuje — że po r. 1956 trzy najważniejsze powieści Berenta ukazały się z obszernymi wstę-pami i komentarzami w „Bibliotece Narodowej” i w tym czasie opublikowano siedem o nim książek: W. Studenckiego, P. Hultberga, Z. Mo-łodcówny, W. Boleckiego, J. Paszka, M. Popiolo-wej i zbiorowy tom „Studia o Berencie” pod re-dakcją Paszka. Spośród powieściopisarzy młodo-polskich właśnie Berent cieszy się wśród badaczy największym zainteresowaniem i estymą. Smut-ne to i dziwne, że o całej tej berentologii nie wie nic autor rubryki pod nazwą „Nalóg czytania”: a co gorsza — redakcja „Nowych Książek”. (hm)

DEKADA LITERACKA — dwutygodnik kulturalny. **Wydawca:** Krakowska Fundacja Kultury, ul. Kanonicza 7, 31-002 Kraków, tel. 22-47-73. **Adres Redakcji:** ul. Wielopole 1, 31-072 Kraków. **Redakcja:** Marta Wyka (redaktor naczelny), Zbigniew Baran (sekretarz redakcji), Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski, Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Aleksander Pieniek (grafik), Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska, Teresa Walas. **Współpracują:** Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Anna Baranowa, Wacław Iwaniuk (Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Małgorzata Ruda, Jan Józef Szczepański, Witold Turdza. **Skład i łamanie:** Oficyna Literacka, Kraków, ul. Sokołowskiego 19. **Druk:** Drukarnia ASSICO, 90-532 Łódź, ul. ks. Skorupki 17/19. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skrótów.

ISSN 0867-4094

Wspomnienie z Atlantydy

Teresa Walas

Gdy przy końcu lat siedemdziesiątych dostałam stypendium do Londynu, wyrósł przede mną dramatyczny i dotkliwy problem butów. Potrzebne mi były buty uniwersalne: odpowiednie do spodni i do kostiumu, gotowe sprostać długotrwałym marszom przez miasto i sytuacjom towarzyskich spotkań. Lekkie i wygodne, ale i zapewniające godziwe schronienie stopom wydanym na kaprysy nieprzewidywalnej wiosennej pogody. Na dodatek powinna je być cechować pewna umiarkowana bodaj elegancja, pozwalająca zaspokoić moje niewygórowane wprawdzie, ale jednak stanowiące wymagania estetyczne.

W handlu zwanym wówczas handlem społecznym, obuwiu było towarem praktycznie niedostępnym. Na półkach sklepów noszących nazwę „Ciżemka”, „Bucik” lub „Szweczyk Dratewka” znajdowały się na ogół cepeliowskie serwetki, ręcznie wykonane drobiazgi z drewna, lub gąbki do mycia samochodów. W wyjątkowo luksusowych salonach obuwniczych od czasu do czasu rzucono kakao. Gdzieś tam trażały się pojedyncze pary butów powoływane do życia przez ortopedycznych sadystów, mających do stopy ludzkiej stosunek nienawistny i mściwy, ale i te odznaczały się zazwyczaj nietypowością rozmiaru. Pozostawały więc sklepy zwane prywatnymi, które, choć rozsiane już wówczas dość gęsto, także cierpiały na brak surowca, ich zaś asortyment wychodził naprzeciw gustom lgnącym do wysokich obcasów, obfitych ozdób i szpiczastych nosków. Gdy po długotrwałych wędrówkach opuszczała mnie już nadzieja, natrafiłam na buty zbliżone do ideału. Były to dobrze skrojone sandały, osadzone zgrabnie na płaskim obcasiku, lekkie ale stabilne, przewiewne, ale dostatecznie zabudowane, by można w nich było przetrwać chwilę nagłego deszczu. Pojawiła się wszakże komplikacja: rozmiar i kolor. Nie chciałam sandałów czarnych, czerwonych, jasnoróżowych ani grynspanowych. Pragnęłam nasyczonego brązu, który odpowiadał memu średniemu standardowi życia i właściwej mi wówczas niechęci do ryzyka i ekstrawagancji. Niestety, brąz rozmijał się konsekwentnie z moim numerem buta. Przez miesiąc dwa razy w tygodniu odwiedzałam sklep, a mój wzrok prześlizgiwał się zachłannie po półkach i zawisał błagalnie na ustach sprzedawczyń. Jak zwykle, i tym razem los obszedł się ze mną bez szczególnego okrucieństwa, ale i bez wyraźnej życzliwości. Dwa dni przed moim wyjazdem pojawiły się sandały w kolorze beżowym: neutralne wprawdzie, ale bezkrwiste. Nie zaspokajały moich pragnień, ale mieściły się w kategorii przyzwoitego obuwia.

Nałożyłam je po raz pierwszy w Londynie i gdy zamknęłam za sobą drzwi Maree

Hotel, jednego z dziesiątków podrzędnych hotelików na tej ulicy, poczułam, że moje stopy ślizgają się po bruku jak na lodowej tafli. Przeszłam na jezdnię — jeszcze gorzej. Moje sandały podbite były szklistą masą, która w zetknięciu ze szlachetnym londyńskim brukiem uzyskiwała niezwyklej wprost śliskość. Dumna pewność moich kroków zniknęła. Nie szłam już, nawet nie stąpałam, posuwałam się zaledwie, starając się przywrzeć jak najściślej do słynnej portlandzkiej kostki. Każda skórka z banana, każda pestka, każda nieopatrznie rzucona blaszka, każdy ćwiek w jezdni groził naruszeniem równowagi. Każdy dżdżysty lub nawet tylko mglisty dzień był moim wrogiem, wilgotny bowiem bruk stwarzał zdwojone niebezpieczeństwo. Upadałam znienacka na jezdnię lub chodniku, w muzealnych salach i na korytarzach bibliotek wyposażonych w posadzki: raz runęłam na kolanach w dół ulicy, prosto pod nogi grupy manifestantów, zgromadzonych przed ambasadą któregoś z krajów Dalekiego Wschodu. Poniosłam nieodwracalne straty w garderobie, miałam potłuczone kolana i posiniaczone ręce, ale nie poddawałam się. Moje buty odbierały mi pewność ruchów, ale podtrzymywały moje estetyczne samopoczucie.

Na dzień przed wyjazdem poszłam do Tate Gallery, by raz jeszcze rzucić okiem na Turner'a i paru prerafaelitów. Gdy stałam przed obrazem Millaisa „Chrystus w domu swoich Rodziców”, którego przewrotny realizm wciąż robił na mnie wrażenie, poczułam na sobie czyjś wzrok. W istocie, po drugiej stronie sali stał mężczyzna i patrzył na mnie w sposób, który dawna proza lubiła nazywać badawczym. Oddaliłam się w kierunku Turnera, ale wpatrując się w „Zamek Norham” nadal czułam towarzyszące mi spojrzenie. Tym razem mężczyzna stał tuż obok uśmiechając się nieznacznie. Przypominałam sobie, że w muzeach często polują na swe ofiary mordercy seksualni, którzy wbrew rozpowszechnionym mniemaniom, mają wygląd urzędników państwowych, drobnych przedsiębiorców, nauczycieli lub pastorów. Postanowiłam więc szybko wycofać się w stronę Burne-Jonesa, gdy mężczyzna podszedł do mnie i zapytał: „Przepraszam, czy pani nie jest Węgierką?” zaprzeczyłam, bo choć czterysta lat temu rodzina mego ojca przyszła do Polski z Węgier, nie poczuwam się do węgierskiej tożsamości. „A nie jest pani Czeszką?” „Nie”, odpowiedziałam i, żeby zamknąć sprawę, dodałam: „Jestem z Polski”. Mężczyzna rozpromienił się. „Ach tak, ja jestem Węgier. Wiedziałem, że pani musi być z Europy Wschodniej i próbowałem zgadnąć, z jakiego kraju.” „Skąd pan wie?” „To proste — poznałem po butach”.

W tym roku robiąc porządki świąteczne wyrzuciłam beżowe sandały doszczętnie już znośne. Ciekawe, po czym teraz poznać mnie będą w Zjednoczonej Europie?

TEATRZYK RYSUNKOWY



Rys. Aleksander Pieniek

HYDE PARK czytelników

Z dwóch wierszy nadesłanych przez PIOTRA BULSZE z Krakowa wybraliśmy ten, który o tzw. procesie tworzenia mówi językiem prostszym, bez uduziwnień, alegorii i słów pisanych z dużej litery. Wydaje się, że w tym przypadku, jak i w wielu innych prostota i konkret z powodzeniem zwyciężają poetyckie powszechniki.

NOC I DZIEŃ

Noc i dzień
potem znowu dzień
walczyłem z białą kartą papieru
by przy pomocy kodu zwanego
literami alfabetu zapisać słowa.
Te z kolei uformować w postać wiersza.
Tylko po co ten zboczony proceder?
Nie lepiej świecę zapalić w ciemnym pokoju,
by się pozbyć tej odrobiny niepokoju.

Julian Ursyn Niemcewicz

Wanda Śpiew historyczny

- | | |
|---|--|
| 1
Krakusa córka, której Wanda imię,
Wśród dziewic cudnych gromadki niemalej,
Jaśniała wdzięki po całej krainie,
Pięknego lica, postaci wspaniałej. | 6
Już noc swe smutne rozpostarła cienie,
Wanda w komnacie sama się zamknęła,
Patrząc w ognia skwierczące płomienie
Nad losem kraju rozmyślać ją. |
| 2
Nie dziw, że tknięci jej wdzięki i cnotą,
Liczne książęta przyjeżdżali w gości,
Piękność jej kładąc jako szczerze złoto
Pozyskać chcieli wraz z ręką i włosy. | 7
Na cóż czeze blaski i bogactwa świetne,
Kiedy niestawą cnota się okryje,
Tylko kto zdobny jest w czyny szlachetne
W pamięci wdzięcznej u Polaków żyje. |
| 3
Lecz Wanda pomniac czym się pleć jej chlubi
I jaką lubą była jej swoboda,
Tego nie kocha, owego nie lubi,
Nie zna dla kogo będzie ta nadgroda. | 8
Nakoniec okiem spoziernia spokojnym,
Kędy się Wisły fala lśniąco toczy:
„Stokroć niżeli cierpieć straszne wojny,
Wolę ja zamknąć wiekiście oczy.” |
| 4
Natenczas rycerz Rytygier zuchwalec
Sprawia poselstwo i tak jej powiada:
„Tę to obrączkę na twój luby palec
Chcę włożyć — jeśli nie zgodzisz się, biada!” | 9
Już bieży żwawo na pochyłek skały
I nad nurtami wiślanymi staje,
W nich zamyślając szukać czci i chwały,
Cudnej urody ciało im oddaje. |
| 5
„Gwoli mojemu szczęściu oraz sławie,
Do ślubu czuję chęć niepowściągniętą,
Z naturczywymi szyki wnet się zjawie,
Ziszczyć nadzieje i wezmę cię żoną.” | 10
Luba ojczyzna, dla Wandy przyczyny,
Podłych sąsiadów nie stała się lupem,
Wzniosła grób pyszny, świadczący jej czyny
Kopcem sypanym i kamiennym słupem. |

WITOLD TURDZA odkrywa nieznane arcydzieła

W Bibliotece Czartoryskich w Krakowie znajduje się list Juliana Ursyna Niemcewicza do księcia Adama Czartoryskiego, datowany 17 sierpnia 1805 r. Poeta pisze w nim o zamiarze stworzenia cyklu poematów, opisujących wybitne postaci z naszej przeszłości. M.in. pisze tak: „Ze słodką smętnością przypominając przeszłość napisać chcę poema zawierające całe dzieje nasze. Żeby w nich starożytne cnoty przebiegały przez ukształcone obyczaje. Żeby Polacy wiedzieli czym byli i czym być mogą. Zacząć zamyślać od dziejów pradawnych Wandy, które pokażą jak nieograniczone do ojczyzny czuła przywiązanie.” Po czym Niemcewicz przedstawia księciu próbkę — właśnie wiersz, którego bohaterką jest legendarna Wanda. Cykl, o którym pisze poeta rzeczywiście powstał. Są to, ogromnie niegdyś popularne, wydane w 1816 r. wraz z nutami — *Śpiewy historyczne*. Ale Wandy w nich nie ma. Czy autor zrezygnował w niej czy też trudno mu było wydobyc z rękopisu od Czartoryskiego czy też były jakieś inne powody — trudno powiedzieć. W każdym razie utwór pozostał tylko w rękopisie, zapomniany tak dalece, że żadne z wydań *Śpiewów historycznych* nie uwzględniła go. Warto zatem przypomnieć ten historyczny śpiew i pamiętać o nim przy kolejnych wydaniach.